



Isabel Sharpe



Ich noce

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To dlatego porzuciła świat show-biznesu.

Lindsay wysiadła z taksówki, która dowiozła ją prawie pod same drzwi Pałacu Festiwalowego, gdzie za pół godziny miała się rozpocząć ceremonia wręczenia nagród Nowojorskiego Festiwalu Filmowego. Jej samolot z Burlington w stanie Vermont miał opóźnienie, dlatego w eleganckie ciuchy przebrała się dopiero na tylnym siedzeniu taksówki w drodze z lotniska LaGuardia. Niewiele brakowało, a dwa lata po opuszczeniu Los Angeles wkroczyłaby na galę w czarnych bawełnianych spodniach, które kosztowały mniej niż najpopularniejsza nitka do czyszczenia zębów.

Zapłaciła kierowcy i wysiadła, starając się nie myśleć o zbitym tłumie gapiów i twarzach zwróconych na nią. Była hollywoodzka scenarzystka, Lindsay Kenyon, bardzo ich rozczaruje. Scenarzyści nie są powszechnie znani, w przeciwieństwie do gwiazd filmowych, a Lindsay nie przybyła tu w związku z nominacją własnego dzieła, ale żeby odebrać posążek za najlepszą rolę drugoplanową w imieniu przyjaciółki Tary Cooper, która przebywała na planie filmowym w Australii. O ile Tara zwycięży. Lindsay, choć było to podłe, w skrytości ducha miała nadzieję, że może do tego nie dojdzie. Na myśl o wychodzeniu na scenę dostawała gęsiej skórki.

Dwa lata wcześniej marzyłaby o takiej imprezie.

Z lodowatym uśmiechem pomaszerowała po czerwonym dywanie, starając się robić to z gracją pomimo wysokich obcasach, od

których się odzwyczaiła. Dyskretnie uniosła dół sukni ciągnący się niebezpiecznie blisko ziemi. Jeżeli się potknie, z mety zawróci i pierwszym samolotem wróci do Vermontu. Do jej uszu dotarły szept:

- Kto to?

- Nie mam pojęcia.

Błysnęło parę fleszy - pewnie jacyś optymiści sądzą, że któregoś dnia Lindsay stanie się sław-na, a oni będą mieli jej fotografię z odległej przeszłości i sprzedadzą ją przez e-Bay.

Dotarła do drzwi, skinęła głową mężczyźnie w czarnym mundurze, które je przed nią otworzył, i wsunęła się do szykownego holu, szczęśliwa, że bezpiecznie dotarła do środka. Niestety w środku też nie czuła się bezpieczna. Zostawiła torbę w szatni i wjechała windą do foyer. Zgromadzeni tłumnie ludzie w najwspanialszych kreacjach nie zawsze w najlepszym guście rozglądali się i wystawiali na pokaz, paplali, pokrzykiwali, kręcąc się jak gromada kolibrów, kłębiąc się jak mrówki, rojąc się jak pszczoły. A może obnosząc się jak kury?

Z ręką na sercu mogła powiedzieć, że nie tęskni za tym napuszonym zgiełkiem.

Zatrzymała się przy windzie i ogarnęła wzrokiem to targowisko próżności, wracając myślami do wczorajszego dnia, który spędziła na krytym ganku z widokiem na zielone wzgórza i góry majaczące w oddali, ze słońcem wpadającym przez okna, z laptopem na kolanach, rozmarzona i usatysfakcjonowana, chociaż nie posunęła do przodu choćby o jedno zdanie czwartego rozdziału swojej pierwszej powieści, jakże wspaniałej i błyskotliwej oczywiście.

Cóż, od dwóch tygodni nie czuła weny twórczej. I mówiąc szczerze, wcale nie była pewna, czy podoba jej się to, co już napisała...

Ktoś ją potrącił - nie, odepchnął bezceremonialnie na bok, zaraz potem poczuła lodowaty wzrok kunsztownie pomalowanych oczu, a przez sztucznie wybielone zęby ktoś syknął:

- Przepraszam.

Lindsay rozpoznała damę, ta jednak udawała, że nie wie, na kogo wpadła. Była to Marlie, aktorka od małych ról, za to o wielkich i bujnych kształtach, która do perfekcji opanowała przynajmniej jedną rolę: erotycznej pijawki. Dziwna rzecz! Są osoby, które nigdy nie odniosły sukcesu, a obnoszą się jak największe primadonny. Marlie przepełniła kielich goryczy i wpłynęła na decyzję Lindsay o porzuceniu Los Angeles, pracy i Gavina. Nie dlatego, że coś go łączyło z tą kobietą. Lindsay ufała mu bezgranicznie, ale też nigdy nie kazał Marlie odczepić się od siebie. Ani jej, ani nikomu, kto potrzebował jego czasu, energii i talentu. Aż w końcu zaczął zanedbywać ich związek.

Wytrącona z równowagi odeszła od windy. Cóż, nie czuła się zbyt pewnie. Z kim by tu pogadać? Jak włączyć się w rozmowę? I co ją to wszystko obchodzi? Cały ten tłum to obcy jej ludzie. Tu i ówdzie widziała znajome twarze, na które jednak spoglądała z dystansem, jakby oglądała swoją przeszłość w kryształowej kuli.

Nie należała już do tego świata. Ostatnią osobą, z którą rozmawiała, był jej sąsiad, Frank Weller, którego poprosiła, by rzucił

okiem na jej kury, Friedę i Freię. Dla Franka wypowiedzenie zwięzłego zdania było już gadulstwem. Teraz przyznawała mu rację.

Minął ją wysoki brunet w smokingu. Wiedziała, że to nie Gavin, ale i tak skoczyła jej adrenalina. Będzie tutaj, przecież kandyduje do nagrody za najlepszy scenariusz do filmu „Zew natury”. Dowiedziała się o tym, kiedy zgodziła się zastąpić Tarę. Trzeba być masochistką, żeby cieszyć się na najkrótsze choćby spotkanie, gdy nazajutrz musi wrócić do Vermontu. Nawet na jedno spojrzenie z drugiego końca zatłoczonej sali... Bo w końcu jak można zapomnieć o dziewięciu latach przyjaźni... nie, czterech latach przyjaźni i pięciu latach miłości. Dopiero po roku pobytu w Vermoncie przestała czekać, że Gavin stanie w jej drzwiach, przyzna, że jego szaleństwo na punkcie Los Angeles było błędem, przysięgnie, że nie może żyć bez niej, uprosi, żeby mu pozwoliła wprowadzić się do niej i zacznie nowe życie na jej zasadach...

- Lindsay?

Drgnęła nerwowo. Obok Marlie-Pijawki stała inna blondynka - Alexandra DuBois, pierwotnie Alex Woods, dwulicowa plotkara. Również ona miała swój udział w decyzji Lindsay o opuszczeniu Hollywood.

- Alex! - Okazała tyle entuzjazmu, ile trzeba, dodając oczekiwane cmoknięcie na odległość. Przy czym stwierdziła, że woli woń krowiego placka od dławiącego zapachu spowijającego Alexandrę, a także nieskrywaną podejrzliwość rodowitych Vermontczyków wobec takich sztucznych wylewności.

- Własnym oczom nie wierzę! Myślałam, że Maine połknęło cię żywcem.

W sali pełnej porażająco białych uśmiechów uśmiech Alex sprawił, że Lindsay zapragnęła pomalować swoje zęby na ohydny żółty kolor, a siekacze na czarno.

- Vermont. Przeniosłam się do Vermontu.

- Ach tak! - Alex starannie połączyła szyderstwo z brakiem zainteresowania. Oczywiście celowo pomyliła nazwy stanów. - Ale za to poznaję tę suknię.

- Byłam w niej na rozdaniu Oscarów dwa lata temu - dumnie przyznała Lindsay. Wyrosła z dziecinnego licytowania się, kto, co i dlaczego, i czuła się z tym cholernie dobrze.

- Ach tak. - Alex podejrzliwie spojrzała na szafirowy jedwab Lindsay. - Zdawało mi się, że widziałam ją jeszcze gdzie indziej. A może na kimś innym. No i Gavin jest tutaj. Pewnie o tym wiesz.

Oczywiście, że wiedziała. Co więcej, choć gardło miała ściśnięte, udało jej się zachować uprzejmy wyraz twarzy. Do licha, przecież ma to już za sobą, podobnie jak całą tę resztę. Potrafiła nawet przez tydzień nie myśleć o nim... częściej niż parę razy dziennie.

-Tak, mam nadzieję, że go zobaczę.

Mocno pomalowane niebieskie oczy Alex, wędrujące po sali w poszukiwaniu kogoś ciekawszego, nagle tak przyszpiliły Lindsay, że biedaczka omal się nie cofnęła.

- Czuję, że otrzyma dzisiaj nagrodę.

- Tak myślisz? - Jeszcze mocniej ścisnęło ją w gardle.

Zwycięzać, zwyciężać... to jedyne pragnienie Gavina. Nagrody,

kontrakty, nominacje, życzliwość i aprobata ludzi... A jeżeli dzisiaj otrzyma nagrodę, to za scenariusz, który napisał bez niej, choć w pierwszej fazie, gdy szuka się pomysłu, pomogła mu. Ale nie miała do tego serca, bowiem już wtedy wiedziała, że albo opuszczą Los Angeles, albo to miasto ich zniszczy. Tylko że on tego nie rozumiał.

- Czy jest szansa na to, żeby dynamiczny duet odegrał scenę pojednania? - Sposób, w jaki Alex wpatrywała się w Lindsay, był charakterystyczny dla ludzi o bardzo małych mózdkach.

- Nie ma. - Lindsay wskazała na gęstniejący tłum. - Wygląda na to, że wszyscy już weszli. Tak się cieszę ze spotkania, Alex.

- Nawzajem. Jeżeli spotkam Gavina, powiem mu, że go szukasz. Pa! - Szeleszcząc atłasem, odpłynęła by rozpowszechnić wiadomość, że Lindsay wróciła i usycha z tęsknoty za Gavinem, albo że Lindsay wróciła, by zniszczyć Gavina, albo też że wprawdzie Lindsay wróciła, ale po utracie Gavina zamieniła się w lesbijkę. A Lindsay stała z otwartymi ustami, na których zawisło „nie szukam go”.

Cóż, przeszła metamorfozę. Stała się głębsza i bardziej zadowolona z siebie. Nie spodziewała się jednak, że inni też się zmienią. Zdolność do refleksji, szczerze zadowolenie z życia, to rzadkie towary w Los Angeles.

Weszła na tętniącą podnieceniem widownię. Ogromne kompozycje kwiatowe zdobiły scenę, a repliki statuetek Nowojorskiego Festiwalu Filmowego lśniły kusząco na olbrzymich ekranach. Liczne ekipy telewizyjne już pracowały, paparazzi zwijali się jak w ukropie.

Hostessa zaprowadziła ją na miejsce. Z ulgą zapadła się w bordowym fotelu. Pierwszy etap wykonany. Teraz może już siedzieć spokojnie i przeczytać przemówienie, które napisała Tara na wypadek, gdyby otrzymała nagrodę, a potem wycofać się do swojego pokoju. Jutro wróci do cudownego, spokojnego, pozbawionego zadęcia i próżności życia w Vermoncie, i do swojej pierwszej powieści.

Tyle tylko, że nagle wyczuła jakieś poruszenie. Rozejrzała się wokół i dostrzegła Billa Angleterre'a i Cheri Draxmer, scenarzystów, a także przyjaciół Gavina i jej. Z uśmiechem pomachała im na powitanie, a potem, idąc za ich wzrokiem, spojrzała... prosto w ciemne oczy Gavina Harveya, który kiedyś był miłością jej życia.

W tym momencie przygasły światła i rozległa się głośna muzyka. Widomy znak, że uwagę trzeba skierować na scenę.

Lecz ona nie tam ją skierowała, tylko zagłębiła się w siebie. Zamiast słodkiego przyływu czułości, na co była przygotowana, poczuła tęsknotę i złość, czułość i ból, jakby odeszła od Gavina wczoraj, a nie półtora roku temu.

Okej. Oddychaj. To pewnie normalne, biorąc pod uwagę fakt, że byli z sobą tak długo. Cztery lata przyjaźni i pięć jako para. Ekscytujący, dynamiczny i pełen namiętności czas. Rozpalali się nawzajem jak mało kto...

Ech!

Kiwnęła mu palcem i lekko się uśmiechnęła, po czym wbiła wzrok w scenę, na której burmistrz Nowego Jorku otwierał ceremonię. O Boże, tak trudno się skoncentrować. Żeby tylko nie przegapić nazwiska Tary, gdyby przypadła jej nagroda.

Jednak po półgodzinie przyzwyczaiła się do widoku Gavina, a nawet nie kryła łez, kiedy sprężystym krokiem szedł na scenę, wymieniając szybkie uściski dłoni i odbierając gratulacje od przyjaciół.

Pisanie było dla niej niemal wszystkim, ale dla Gavina jeszcze ważniejszy był sukces w blasku reflektorów i właśnie te jego ciagoty podsycane zatrutą atmosferą Hollywood, rozdzieliły ich na dobre.

Z właściwym sobie wdziękiem, witany nieprzerwanymi brawami, wchodził po stopniach na podium. Był ulubieńcem wszystkich, ale co się dziwić: przystojny, dynamiczny, towarzyski, inteligentny...

I obsesyjnie pnący się na sam szczyt. Dla tego celu poświęcił kobietę, którą kochał, a która siedziała teraz wśród publiczności i wpatrywała się w niego. Była taka szczęśliwa z powodu jego sukcesu. Taka dumna. Taka... zdeterminowana, żeby nie wejść w to ponownie.

Stał na podium wzruszony i triumfujący. Wygłosił krótkie przemówienie, kłaniał się, dziękował publiczności. Nie odrywała oczu od powiększonego obrazu jego twarzy na wielkim ekranie. Wyglądał na zmęczonego, schudł. Pewnie się źle odżywia! Zawsze musiała mu o tym przypominać, bo zapamiętywał się w pracy...

Do diabła, co to ją obchodzi?

- ...na koniec - głos mu ochrypl - chciałbym podziękować mojej wieloletniej partnerce i najlepszej przyjaciółce, Lindsay Kenyon, bez której zachęty i wsparcia ten scenariusz nigdy by nie powstał.

Uff... Niech to szlag trafi! Klaskała tak mocno, że aż piekły ją dłonie, przez łzy śledziła każdy krok Gavina, gdy schodził ze sceny.

Jeżeli jeszcze trochę popłacze, to odbierając nagrodę - jeśli nie daj Boże Tara wygra - będzie wyglądała jak straszidło.

Czas dłużył się niemiłosiernie, aż wreszcie przyszedła kolej za rolę drugoplanową. Zaszczyc jej wręczenia przypadł Nicole Kidman, która swym melodyjnym australijskim akcentem powiedziała:

- A nagrodę otrzymuje... Tara Cooper za „Pójdźmy nad rzekę”.

Lindsay przedarła się na scenę - nie potknąwszy się na szczęście - żeby odczytać sentymentalne przemówienie, które zostawiła jej Tara. Światło oślepiało, tłum na widowni zamienił się w jedną rozgorączkowaną masę. Tak bardzo zatęskniła za cichym, pobielonym drewnianym wiejskim domem pośród pagórkowatej ziemi, pól, lasów i pastwisk...

- Na koniec pragnie podziękować swoim rodzicom, którzy zrobili wszystko, żeby jej życie było najwspanialsze z możliwych. - Rozpętała się burza oklasków; Lindsay uśmiechnęła się, podniosła statuetkę i opuściła scenę, by za kulisami wpaść w szpony fotografów, którym było wszystko jedno, kogo fotografują. Wreszcie z westchnieniem ulgi dotarła do wyjścia.

Załatwione. Zrobiła, co miała zrobić. Jej po-dróż dobiega końca. Nie miała już cienia wątpliwości, że jej nowe życie w porównaniu z tym domem wariatów ma głęboki sens. Zobaczyła Gavina i jakoś to przeżyła, chociaż nadal czuła się trochę potłuczona. Ale żyła, naprawdę żyła! Do diabła z tą hollywoodzką, pożałuj Boże, „fabryką snów”. Czas wracać do rzeczywistości, do spokoju, który udało jej się...

- Lindsay! Jak się masz?

Wszystko, co przypominało spokój, będzie musiało poczekać do powrotu do Vermontu.

Gavin nie przestawał się uśmiechać od ucha do ucha. Rany, co za noc. Trofeum - do licha, jak on to uwielbia! Co więcej, Lindsay wróciła. Wróciła tam, gdzie jest jej miejsce. Jest blada, chuda i przygnębiona - co, do cholery, zrobiła z sobą na tym krowim pastwisku w zapyziałym Vermoncie? Ale wróciła. Wiedział, że długo tam nie wytrzyma.

Choć od roku już nie czekał, nie wypatrywał jej codziennie i przestał liczyć na to, że stanie zapłakana w drzwiach jego mieszkania i wyzna, jaki to wielki błąd popełniła, bo nigdy nie powinna się oddzielać od drugiej części swojej duszy, to właściwie dlaczego nie miałaby zrobić tego teraz?

No właśnie! Może zaraz mu to wyzna i wreszcie przestanie iść w zaparte, o ile, oczywiście, duma jej na to pozwoli. Bo po cóż by przyjeżdżała? Przecież nie z naglącej potrzeby wyjścia na scenę i popisywania się cudzą nagrodą!

Wróciła. A jeżeli nie może się przyznać, że wróciła na stałe i trzeba to z niej wydusić, to ma to u niego jak w banku.

- Tak się cieszę, że cię widzę. - Chciał ją uścisnąć z całej siły, ale ludzie patrzyli, a on był w tym tygodniu z Kaytee, więc objął ją oficjalnie. Rozczulił się... była krucha jak ptaszek.

- Ja również, Gavinie. - Zerknęła w bok, zarumieniła się, co, chwala Bogu, przydało jej twarzy trochę koloru, potem znowu spojrzała na niego swoimi ciemnymi, przenikliwymi oczami, a jemu serce zaczęło walić, jakby wróciło do życia po półtorarocznej

przerwie. Wychudła, zmizerniała, ale to nadal Lindsay Kenyon, najpiękniejsza kobieta na świecie. Delikatna jak Audrey Hepburn, na pozór mimoza, ale tak naprawdę twarda jak diabli i dziko uparta.

- Długo zostaniesz w mieście? - Chciałby się nią nacieszyć, upewnić, że choć być może sama tego nie wiedziała, przyjechała tu z tego jednego jedyne powodu. A w tym czasie mogłaby zerknąć na konspekt scenariusza - przeróbki „Filadelfijskiej opowieści”, starego szlagieru z Katharine Hepburn, Grantem i Stewartem - o którym wielokrotnie rozmawiali i przymierzali się do wspólnej pracy. W końcu tygodnia czekało go spotkanie z Johnem Saxmanem z Uniwersal Pictures, któremu miał zaprezentować swój pomysł. Gdyby wszystko się udało, byłby to wielki sukces.

- Tylko że konspektowi jeszcze czegoś brakowało, więc kiedy zobaczył Lindsay, olśniło go, że tylko ona może mu pomóc.

- Wyjeżdżam z samego rana.

- Tak...? Dokąd?

- Wracam do domu - odpowiedziała z uśmiechem.

Do Kalifornii. Nie mógł powstrzymać promiennego uśmiechu. Miał rację, że Lindsay ma już dość krów, farmerów, wiejskiego życia. Wiedział, że nie wytrzyma tam długo.

- Masz się gdzie zatrzymać?

- Słucham?

- Powiedziałaś, że wracasz... - Cóż, wraca do siebie, nie do Los Angeles.

- Moim domem jest Vermont - powiedziała łagodnym tonem, jakim matka przemawia do dziecka, a nie jak bezlitosna Lindsay,

którą znał. Może cierpiała na depresję? Ich burzliwe dyskusje i kłótnie były wręcz legendarne. Jak bardzo mu ich brakowało.

- Hej, wy dwoje, znowu jesteście razem?

- Nie - odpowiedzieli jednocześnie i odwrócili się do Izzy Thornton, kiepskiej imitacji Joan Rivers, znanej aktorki, gospodyni programów talk-show i bizneswoman. Izzy, mimo wielkich aspiracji, utknęła w brukowcu, pisywała się o ich rozstaniu.

- Ach tak? A gdzie jest Kaytee? - zapytała —Gavina i przeniosła zjadliwy wzrok na Lindsay, jednak nie doczekała się spodziewanej reakcji. Gavin wziął Lindsay za łokieć i poprowadził ją przez salę, unikając zaczepki reporterów i rozmów z przyjaciółmi. Wreszcie znaleźli się w korytarzu pełnym kabli i przewodów, służącym za zaplecze techniczne różnym stacjom, a który prowadził nie wiadomo dokąd.

- Więc kiedy wyjeżdżasz?

- Z samego rana. Kim jest Kaytee?

- Eee... znajomą.

Jej wzrok ostrzegł go, że może sobie darować wykręty.

- Rozumiem. Gdzie jesteśmy?

- Nie mam pojęcia. - Wziął się pod boki. - Nigdzie jutro nie pojedziesz.

- Nie? - Uniosła brwi, jakby wstąpił w nią dawny duch. - A niby co będę robić?

- Spędzać czas ze mną.

- Jak to miło, że mnie uprzedzasz.

- Cała przyjemność po mojej stronie,

- Nie powiedziałałam dziękuję. - Zmrużyła oczy. - A co sobie pomyśli twoja... znajoma?

- Zwykle nie zawraca sobie tym głowy.-

- Nie zawraca sobie głowy zazdrością?

- Myśleniem. - Został wynagrodzony leciutkim drgnieniem ślicznych ust Lindsay. - Przyjadę po ciebie o ósmej. Zjemy śniadanie i zaplanujemy resztę tygodnia.

- Mam samolot o wpół do dziewiątej. - Ruszyła w stronę drzwi. Zatarasował jej drogę.

- Zmień termin.

- Nie mogę sobie na to pozwolić. - Chciała go obejść.

- Zapłacę. - Blokował ją skutecznie. Znowu uniosła brwi.

- Nie miałam na myśli pieniędzy.

- A co?

- Muszę dokończyć powieść i nakarmić kury. - Dziarsko ruszyła przed siebie.

Dogonił ją przy drzwiach.

- Kury?!

- Podsypałam im karmę, której wystarczy tylko na weekend. -

Pożeglowała holem, po czym się zatrzymała, - Którędy teraz?

- Tędy. - Zaśmiał się w duchu. Nigdy nie miała za grosz orientacji przestrzennej. - Co im zrobiłaś?

- Dałam im jedzenie. Gdzie tędy dojdziemy?

- Właśnie chciałem cię o to samo zapytać.

Spojrzała na niego gniewnie, po czym, gdy usłyszała gwar w głębi holu, odepchnęła go.

Znowu za nią podążył, by radośnie podjąć jej gierkę po tytule „przepadam za Vermontem”, czując, że jego miłość do życia rośnie jak zawsze, kiedy był...

- Gavin! - Potężnie walnięty w plecy omal nie wypuścił z ręki statuetki. Bob Franklin. Cholera! Walący po plecach Bob, który zrobił wszystko, żeby podstępnie wykorzystać ostatni scenariusz Gavina. Na szczęście pewna wytwórnia przejrzała oszustwo, więc Bob chyłkiem wycofał się z afery. - Gratulacje, stary. Lindsay, dziecinko, tak się cieszę, że cię widzę. Jak dobrze, że wróciłaś.

- Nie wróciłam - rzekła chłodno. - Po prostu tu jestem.

- Świetnie. - Najwyraźniej zrozumiał to opacznie, za to Gavin aż za dobrze wychwytał niuans.

- Musi wracać do swoich idiotycznych kur. - Nadal nie mieściło mu się w głowie, że Lindsay woli mieszkać na jakimś zapadłym odludziu.

- Teraz to ostatni krzyk mody - rzucił Bob i pognął dalej. - Zobaczymy się na przyjęciu? - rzucił przez ramię.

- Jasne. - Gavin pomachał mu, choć prawdę mówiąc, wolałby palnąć go pięścią w nos.

- Ja nie idę.

Jak to? Nie będzie świętować jego sukcesu, który może mu otworzyć drogę na sam szczyt?

- Dlaczego?

- Czuję się zmęczona. Muszę się wyspać.

- Boże... jesteś chora?

- Zmęczona. Dla mnie to późna pora. - Spojrzała na niego przekornie. - Tak to jest, kiedy wstaje się razem z kurami.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Zapewniam cię, że nigdy nie czułam się lepiej.

Czy w tym Vermoncie nie mają luster? - pomyślał. Żałował, że nie ma w portfelu fotografii dawnej Lindsay, bo pewnie doznałaby szoku, widząc, jak wyglądała przed dwoma laty. Niestety, Kaytee wypatrzyła zdjęcie i kazała mu je usunąć. Ze swego punktu widzenia miała rację, ale czuł się tak, jakby dokonał okrutnego samookaleczenia.

- Daj spokój, Lindsay, zawsze byłaś duszą towarzystwa.

- Nie ja, Gavinie, tylko ty.

To prawda. Woląla kameralne spotkania, nie lubiła fajerwerków. On także lubił małe imprezy, ale wśród tłumu ludzi i z kieliszkiem w rękę również był w swoim żywiole. Inna rzecz, że teraz dłużej niż kiedyś dochodził do siebie po takich imprezach, ale to go nie zniechęcało.

- Naprawdę cię nie przekonam?

- A czy kiedykolwiek ci się udało? - Uśmiechnęła się.

-Gavin powitał jej uśmiech jak nieoczekiwany-promień słońca na beznadziejnie pochmurnym niebie.

- Nigdy. Więc idź i wyśpij się, a ja będę się bawił na przyjęciu.

- To jest myśl. Dobranoc. - Wzrok jej złagodniał. - Wspaniale było cię zobaczyć._

- Spotkamy się rano. Wywróciła oczami.

- Rano muszę zdążyć na samolot.

- Tylko to jedno umiesz mówić.

- Dobranoc, Gavinie.

Pocałował ją w policzek, choć wolałby celować niżej i bardziej pośrodku. Nagle zachciało mu się śmiać. Lindsay nigdzie nie wyjedzie. Wiedział już, jak ją zatrzymać.

Nie dopuści do tego, żeby wróciła do Vermontu wcześniej niż w czwartek, kiedy on wylatywał do Los Angeles. Potrzebował jej, chciał, żeby popracowała nad jego - nad ich - scenariuszem.

A sądząc po jej zabiedzonym wyglądzie, bardzo go potrzebowała...

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Oszalała. Kompletnie oszalała. Zamiast lecieć do Vermontu, gdzie odpręży się przy swoich ślicznych srebrzystych kurach, Friedzie i Frei, a potem porządnie się wyśpi, siedzi oto w swoim pokoju w Pałacu Festiwalowym i czeka, kiedy Gavin przyniesie jej śniadanie.

Dlaczego? Poza tym, że zwariowała? Z dwóch powodów. Po pierwsze, Gavin dopracowuje scenariusz. W ciągu pięciu lat ich romantycznego związku z sześciu wspólnie napisanych scenariuszy, trzema zainteresowały się wytwórnie - niestety nieduże - i nakręciły filmy, które spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem krytyki, chociaż nie były kasowe.

W ten scenariusz, nową wersję „Filadelfijskiej opowieści”, włożyli całe serce. No, może bardziej Gavin niż ona, bowiem jej marzeniem była przeróbka „Ich nocy” - jej ulubionej komedii z 1934 roku ze sławnym duetem Clark Gable

- Claudette Colbert, filmu, który oglądała z Gavinem w wieczór, kiedy zostali w końcu kochankami.

Ale lubiła też „Filadelfijską opowieść”. Ciągłe coś planowali, marzyły im się wielkie dzieła, toczyli z sobą dzikie boje, a z tego wszystkiego zrealizowali zaledwie jedną czwartą. Raz coś im przerwało, innym razem brakowało pieniędzy, więc odkładali „na jutro”, na dzień, kiedy na dobre będą razem.

Tej nocy, kiedy leżała z otwartymi oczami, słuchając ryku klaksonów i syren, i całego tego ulicznego zgiełku, i myślała o swoim

miękkim piernacie i puchowych poduszkach, o rześkim powietrzu i zapachach przyrody, Gavin albo ktoś inny wsunął pod jej drzwi konspekt i roboczą wersję scenariusza.

Wstała znacznie później niż zamierzała, a już na pewno później niż w Vermoncie, i tylko czytała i czytała, robiła notatki, krzywiła się, śmiała i wzdychała. Potem jeszcze dłużej wpatrywała się w sufit i zastanawiała się nad ewentualnymi zmianami.

Cholera, ten szkic był dobry, choć mógłby być znacznie lepszy. Wręcz znakomity. Co gorsza, wiedziała, jak go udoskonalić. A najgorsze z tego wszystkiego było to, że aż świerzbiły ją palce, żeby się do niego dobrać, obnażyć pęknięcia i słabości, uzupełnić je i poprawić, usunąć płycizny i zastąpić je dobrą, mocną prozą. Od dawna nie czuła takiego twórczego głodu.

Co tu dużo mówić, wciąż odkładana powieść i ukochane kury nie rozbudziły w niej tak szaleńczej ciekawości i takiej pasji tworzenia, jak ten materiał.

Poza tym wzruszył ją fakt, że Gavin uznał jej twórczy wkład za nieodzowny.

Natomiast drugim powodem, dla którego nie leciała teraz samolotem, był sam Gavin. Nie, nie w tym sensie, choć oczywiście pociągał ją jeszcze, ale dlatego, że wyglądał okropnie. Schudł, miał podkrążone oczy i był kłębkim nerwów.

Oczywiście, to wszystko jest względne. Nadal na jego widok losowo wybrana grupa kobiet zapiszczałaby w ekstazie, ale Lindsay, która znała go na wylot, wiedziała, że nie jest szczęśliwy. Co więcej, wiedziała dlaczego. Potrzebował swojego Vermontu, własnej wersji

tego, co ona już znalazła. Powinien się wyprowadzić z Los Angeles, uciec od tej chorobliwej kumoterskiej moralności, od tej duchowej i emocjonalnej huśtawki i zamieszkać gdzieś, gdzie jedynym motorem działania będzie zdrowa, inspirująca zabawa dostarczona przez postaci i sceny zrodzone w wyobraźni. Potrzebował przestrzeni, wolności, zdrowego życia. Powinien siedzieć w cieniu klonu, obserwować dziobiące ziarno kury, pasące się krowy sąsiadów, i mieć czas na zadumę.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi.

Jej serce załopotало, po czym, kiedy podeszła, żeby otworzyć drzwi, znowu zaczęło bić równomiernie, choć o wiele za szybko.

- Cześć. - Uśmiechnęła się szeroko, trzymając się klamki, jakby potrzebowała oparcia.

- Cześć. - Uśmiechnął się i puścił oko, a ona zacisnęła rękę na klamce. Świnia. Nie miał prawa pozbawiać jej oddechu, gdy sam nie okazywał żadnego wzruszenia. Miał na sobie koszulę, którą mu podarowała - białą w drobną zielono-niebiesko-brązową kratkę w zgaszonych odcieniach, w której było mu do twarzy, bo podkreślała oczy, ciemne włosy i... w ogóle. Gdyby tylko przytył znów jakieś dwa i pół kilo i wyspał się...

Naprawdę, w imię ich przeszłości powinna spróbować go namówić, żeby trochę zwolnił.

- Gotowa?

- Jasne. - Zaczęła mówić, co chciałyby zjeść na śniadanie, ale on już ruszył korytarzem.

- Dokąd idziesz? - Musiała podbiec, żeby się z nim zrównać.

- Znam miejsce parę przecznic stąd, gdzie mają świetne omlety we wszystkich smakach. Zawsze są tam tłumy, więc będziemy musieli poczekać w kolejce, ale...

- Nie. - Zawróciła gwałtownie.

- ...opłaci się... - Odwrócił głowę, zobaczył, że Lindsey pośpiesza w odwrotną stronę. Dogonił ją po kilkadziesiąt krokach. - Czyżby pora na walkę? - Nie?

- Śniadanie do pokoju.

- Co? - Patrzył na nią, jakby próbując odgadnąć, kim ona naprawdę jest. - Masz spędzić krótki tydzień w stolicy i wolisz korzystać z hotelowej obsługi?

- Tak. Musimy porozmawiać, potrzebujemy spokoju.

- To prawda, ale...

- Śniadanie w pokoju tak, zatłoczona restauracja nie.

Zatrzymał się z pół metra od niej. Zbyt blisko jak na słabo oświetlony korytarz.

- Długo jeszcze zamierzasz unikać publicznego i zawodowego życia?

- Dopóki się nie wyleczę.

- Z czego?_

- Z uczucia ciągłej presji, z bezsenności i wiecznej nadpobudliwości.

_ -A co masz w zamian?_

- Wolność, otwartą przestrzeń, dziewięć godzin snu i drzemek, i...

- Drzemek? Masz całkowitą pewność, że nie jesteś chora?

- Jestem zdrowa. Mam wolny czas, mogę wypoczywać, napawać się pięknem przyrody, mam...

- Kury.

- Tak, kury. To bardzo inteligentne i uczuciowe stworzenia.

- Nie wątpię.

- Biedaczki pewnie myślą, że zostałam zjedzona przez jakiegoś drapieżnika i ogromnie cierpią, więc wracajmy do mojego pokoju, zamówmy śniadanie i skończmy z tym.

- Hm. - Aż za dobrze znała ten grymas pod tytułem: „Nie dam za wygraną”. - Chciałbym cię gdzieś wyciągnąć.

Podeszła tak blisko, że prawie się dotykali. Potrafiła zagrywać nieczysto, jeśli to było konieczne.

- Przeczytałam konspekt i szkic scenariusza.

- I? - Starał się zachowywać naturalnie, ale i tak wiedziała swoje.

- Wiem, co trzeba zrobić.

- Naprawdę? - Natychmiast zabłysły mu oczy. - Powiedz, co?

- Musimy porozmawiać, potrzebujemy cza-su i spokoju.

Wzruszył ramionami, podniósł ręce w geście poddania.

- Niech więc będzie śniadanie w pokoju.

Uśmiechnęła się słodko.

- To rozumiem, dziękuję, kochanie.

- Wiesz, jesteś... - Wymamrotał coś, czego pewnie nie chciałyby usłyszeć. - Więc prowadź.

Gdy weszli do środka, Lindsay nagle uświadomiła sobie, że znaleźli się sam na sam po raz pierwszy od dawien dawna. Sam na sam w sypialni.

Zadzwońiła do obsługi i cichym głosem, by Gavin nie słyszał, zamówiła śniadanie, a potem wskazała na menu.

- Omlet z grzybami i z cheddarem, bez cebuli, podwójna mocna kawa, sok grejpfrutowy. Zgadłam?

- Masz nosa. - Zaśmiał się. - A teraz moja kolej. Musli granola, świeży owoc, sok pomarańczowy, jogurt i także podwójna kawa?

- Błąd. - Pokiwała palcem. - Herbata. Pojedyncza.

- Herbata? Pojedyncza?

- Teraz śpię w nocy. Zadziwiające, ale od tego są noce. Spróbuj, a się przekonasz.

Atmosfera zgęstniała, zapadła cisza. Próbowali gawędzić na obojętne tematy, ale niespecjalnie im szło. Wreszcie zapukano do drzwi. Obsługa hotelowa!

- Oto nasze śniadanie - powiedziała Lindsay.

- Już jadłem.

- To zjesz następne.-

Do licha. Dlaczego jest taka podekscytowana? To niezdrowe. Czyż nie powiadają, że zabójcą numer jeden jest stress A ona chce żyć długo. Ma wiele do zrobienia, książki do napisania, dni spędzone przy kompu...

Tfu! Dni spędzone na cieszeniu się życiem, z którego czerpie pełnymi garściami.

Seksowny młody kelner postawił śniadanie, zerkając na Lindsay, która, widząc, że Gavin wierci się niespokojnie, promiennie się do niego uśmiechała.

- Dziękuję... - rzuciła okiem na identyfikator - Raoul. Bardzo apetycznie wygląda.

- Jest pani mile widzianym gościem, panno Kenyon. Zawsze do usług. - Skłonił się i wycofał, nie przestając wpatrywać się w Lindsay.

- No to jedzmy! - Uśmiechnęła się szeroko do Gavina i usiadła przy stole. - Mam dziki apetyt.

- Może mam go zawołać i zostawić was samych? - warknął.

- Hm... Czyżbyś był zazdrosny, skarbie? - Wyobraź sobie, że tak.

Poczuła miłe ciepło. Och nie, za nic w świecie! Przybrała swą dawną, pewną siebie minę. Ten czaruś nie zwiedzie jej swymi sztuczkami. Chodzi mu tylko o scenariusz, bo ciałem i duszą należy do Świata Lizusostwa i Manipulacji, podczas gdy ona przeniosła się tam, gdzie jedynymi wartościami są szczerłość i uczciwość. Tam, gdzie jest jej dobrze.

Nie da się nabrać na jego sztuczki. Ani teraz, ani w przyszłości.

- No więc, wracając do scenariusza... - Położyła serwetkę na kolanach i sięgnęła po truskawkę, przysunęła jogurt i granoli.

- Właśnie.

Lindsay skupiła się na „Filadelfijskiej opowieści”. Musiała odgrodzić się od wspomnień, które podczas wspólnego posiłku odżyły ze zdwojoną siłą. Czy jednak zatłoczona restauracja nie byłaby lepsza?

- Wykonałeś dobrą robotę, zgrabnie osadziłeś akcję we współczesnych realiach, robiąc z postaci granej przez Katharine

Hepburn pracoholiczkę... Poczekaj, a kogo widziałbyś w roli Cate Blanchett?

- Nicole Kidman.

- Tak. Niezła.

- Więc... - Niecierpliwie połknął duży kawał omletu. - Podoba ci się postać, ale...

- Mam wobec niej wątpliwości, miałam je zresztą już wtedy, gdy po raz pierwszy oglądałam film. Kobieta, którą gra Hepburn, i jej były mąż, Cary Grant. On nie daje jej spokoju, a ona w głębi serca nadal nieprzytomnie go kocha... - Przerwała, bo ze wzruszenia zachrypl jej głos.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne. Świetnie. - Zakaszła i uderzyła się w piersi. -

Wybornie.

- W czym widzisz problem? - zapytał z głupia frant. - Kobieta, której były znowu pojawia się w jej życiu, a w którym ona jest nadal zakochana do szaleństwa...

- Tak, chodzi o nią. - Nie daj się podpuścić, napomniała się w duchu. - Natomiast jako następcę Cary'ego Granta... niech zgadnę... marzy ci się George Clooney?

- Zdecydowanie.

- Na filmie długo obserwujemy rodzące się uczucie między Katharine Hepburn i facetem, który pojawia się w jej życiu, a którego gra Jimmy Steward, więc kiedy w końcu ona łąduje w ramionach pierwszego męża, trzymamy za nią kciuki, ale tylko dlatego, że on jest taki, taki... No, po prostu Cary Grant.

- Rozumiem. Uważasz, że nie powinna tak szybko ponownie połączyć się ze swoim byłym?

- Tak. - No cóż, mówili o filmie, ale... - Potrzeba więcej przesyconych cudowną erotyką scen żeby przypomnieli sobie, jak wiele dla siebie znaczą, a także przekonali widza, że są sobie przeznaczeni.

- Tak, potrzebują więcej czasu. Bo są sobie przeznaczeni.

Jego spojrzenie było stanowczo zbyt namiętne.

- Widz musi uwierzyć, jak bardzo te silne osobowości ciągnie do siebie, jak się uzupełniają, nawet jeżeli prowadzą nieustanną walkę o to, by znaleźć klucz do zgody.

- Tak naprawdę to ona nie tolerowała jego stylu życia.

- Tak naprawdę to on robił wszystko, żeby zniszczyć siebie, a przy okazji ich związek, zaś ona nie mogła mu pomóc, dopóki sam siebie niszczył. Mogła więc tylko go wykopać, póki jeszcze nie było za późno, póki nie pociągnął jej za sobą.

- Jednak otrzymali drugą szansę.

- Eee, taak. - Czyżby to była grubymi nićmi szyta aluzja? - Ale dopiero kiedy uznali swoje błędy i naprawili je.

- Jasne. - Nadział na widelec następną wielką porcję omletu i szybko ją połknął.

- Weźmy na przykład epizod, w którym, Katharine Hepburn wraca pijana do domu po przyjęciu dla pracowników biura, odwożona przez Jimmy'ego Stewarta. A kogo byś obsadził w tej roli?

- Johna Cusacka.

- Hm, nieźle. Więc ona przysypia w samo-chodzie i wtedy mamy tę czułą sceną, kiedy Cary Grant kładzie głowę obok niej na tylnym siedzeniu. Zamieniają parę zdań i to właściwie wszystko. Uważam że film nas oszukuje, pozbawia czegoś szalenie ważnego, a ty w swojej wersji chcesz zrobić to samo.

- Okej. Popracujmy nad tym. - Posłał jej swój firmowy zabójczy uśmiech, wstał od stołu, podszedł do łóżka, usiadł przy nim, oparł głowę o materac, na koniec wskazał miejsce obok siebie.

Masz ci los, nieźle to wymyślił! - sarknęła w duchu. Chce, żebym popełniła emocjonalne samobójstwo?

- Wystarczy, jeśli to omówimy.

- Boisz się zbliżyć do mnie?

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiała się sztucznie. - Ani trochę.

Uważam tylko...

- Udowodnij.

- Proszę bardzo. - Wściekła wstała od stołu. Gavin zawsze tak pracował, odgrywał poszczególne sceny. To go inspirowało. Dawniej często tak robili.

Ale dawniej to dawniej. Teraz jest teraz. Osunęła się na kolana, położyła głowę z pół metra od niego.

- Nie żartuj. W ten sposób nie zmieścilibyśmy się w jednym kadrze.

- Dobra. - Przesunęła się z piętnaście centy-metrów i omal nie wrzasnęła, kiedy przyciągnął jej twarz na odległość trzech centymetrów od swojej.

- Tak, właśnie tak.

Uśmiechnęła się blado. Niech to diabli! Pachniał tak kusząco, mimo śladów wyczerpania wciąż był najprzystojniejszym i najseksowniejszym, a także najbardziej ekscytującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Zawsze tak myślała, zawsze, to znaczy od dziewięciu lat, kiedy poznali się na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

Po czterech latach przyjaźni zostali kochankami. Oglądali film „Ich noce”. Westchnęła, kiedy film się skończył, chciała podzielić się swymi wrażeniami. I wtedy zobaczyła, jak wpatruje się w nią zupełnie inaczej, niż czynił to do tej pory. Co dziwniejsze, zareagowała tak samo, jakby piorun pożądania z ekranu trafił ich oboje.

Niebezpieczne wspomnienie...

- No więc?

Musiała przełknąć, żeby wydobyć głos.

- Co wiec?_ _

- Masz jakieś pomysły?

Cwaniak. Oczywiście logicznym przypieczętowaniem sceny byłby pocałunek, może przypadkowy, może tylko połowiczny. Nie mogła obojętnie patrzeć na jego usta, wobec tego skupiła wzrok na nosie. Tyle że jego nos też był dla niej seksowny.

Pomysły? Miała ich pełno, ale zdradzi tylko te, które mają związek ze scenariuszem.

- Dialog musi być rozbudowany, rozciągnięty w czasie. Powinni zacząć scenę z odległości mniej więcej trzydziestu centymetrów, tam, gdzie byłam wcześniej, żeby potem stopniowo kochankowie...

- Byli kochankowie.

- Niech ci będzie. Byli. No więc stopniowo zbliżają się, jakby od niechcienia, nie przestając wypowiadać swoich kwestii, pozbawionych dramatycznych tonów, dopóki nie znajdą się tak blisko siebie jak my teraz.

- Tak. - Głos Gavina stał się niski i spięty, co wskazywało, że ten pomysł bardzo go podnieca. - Wspaniale. Mów dalej.

- Kiedy są już tak blisko, mogą ciągnąć dialog z opuszczonym wzrokiem, przez chwilę koncentrując się na ustach partnera. - Sama nie zrobiła tego. Zbyt niebezpieczne! Mów, Lindsay. Nie przestawaj mówić. - Rozmowa staje się dwuznaczna, aluzyjna. Pozornie dotyczy czegoś-obojętnego, ale tak naprawdę jest o tym, co do siebie jeszcze czują. Sondują się nawzajem, badają, atmosfera gęstnieje, wreszcie patrzą sobie w oczy i...

Spojrzała mu w oczy i zapomniała, co chciała powiedzieć. A nawet gdzie się znajdowała, kim była.

- A potem? - Jego głos zamienił się w powolny, łagodny szept.

- Hm...- Miała pustkę w głowie. Świadoma była tylko jego brązowych oczu, zapachu, hipnotyzującej obecności, którą przez ostatnie półtora roku starała się wymazać z pamięci. Ja się okazuje, nieskutecznie.

- Wiem, co będzie potem - wyszeptał.

- Co...?

- Robi to, co pragnie zrobić od momentu kiedy zobaczył ją ponownie po półtorarocznej rozłące. - Powoli jego usta rozbłysły w uśmiechu. - Całuje ją.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie. - Lindsay szarpnęła się do tyłu. - Nie. Absolutnie i kategorycznie jej nie całuje.

Gavin podniósł głowę, a czuł się tak, jakby wbrew sobie budził się ze snu. Wszystko potoczyło się inaczej, niż zamierzał. Początkowo chciał tak pokierować rozmową, żeby w odpowiednim momencie pokazać Lindsay, że jej nowe życie jest nudne i tłamsi jej ducha. Ale kiedy położyła głowę tuż przy nim i spojrzała zmęczonymi, smutnymi oczami, zalała go taka fala czułości, że się zagalopował.

Kocha ją. Tylko taki idiota jak on mógł sądzić, że na dobre wywietrzała mu z głowy. Albo że kiedykolwiek wywietrzeje. Jak w ogóle mogła go pociągać Kaytee? Lindsay tkwiła w nim głęboko na tyle różnych sposobów. Jego niezawodna towarzyszka od czasu, kiedy byli nastolatkami aż po dorosłość... Że też w ogóle mógł się zastanawiać nad wyrwaniem jej ze swojej duszy, nad usunięciem jej jak jakiejś drzazgi czy zbędnej części garderoby! Była nieodłącznie związana z jego jestestwem, dawniej, teraz i w przyszłości. Pragnął jej szaleńczo... Zawsze, o każdej porze dnia i nocy.

Po co ma ją przekonywać, żeby opuściła Vermont i znów stworzyła z nim zawodowy duet* Chciał, żeby wróciła do niego, do jego łóżka. By znowu przegadywali pół nocy, robili burzę mózgów, opowiadali ciekawostki z minionego dnia, a przez drugą połowę kochali się. Pragnął, by wróciła do niego ta prawdziwa Lindsay - cudowna, uczuciowa, tryskająca energią, olśniewająca i tak łatwo

ulegająca emocjom. Nie ta chuda, zabiedzona, obojętna na otaczające ją życie, za to obsesyjnie oddana domowemu ptactwu.

- Okej. Nie całuje jej. - Kiedy się podniósł, nadal był zakłopotany i zdezorientowany.

- A później ?

- Oczywiście.

Dlaczego była taka spokojna, podczas gdy on ledwie pamiętał, co powiedział.-

- Kiedy?

Spojrzała na niego tak, jakby potrzebował natychmiastowej pomocy psychiatrycznej.

- Kiedy on zmieni się na tyle, żeby ich związek mógł dobrze funkcjonować. Kiedy wreszcie zaakceptuje ją taką, jaka jest. To ma być nagroda dla niego za to, że przejrzał na oczy i spojrzał inaczej na własne życie.

- Okej. - Znów ten mętny tekst. Czy Lindsay mówiła o scenariuszu? A może to... zakodowany przekaz? - Ale ona też musi się zmienić. I zaakceptować go, tak jak on ją.

- Oczywiście. Taki jest morał tej historii. Najpierw on się zmienia, potem ona.

Gavin miał ochotę poskrobać się po głowie.

- A potem... będzie mógł ją pocałować?

- Tak. - Podniosła się i wróciła do śniadania.

Poszedł w jej ślady, z wielkim trudem próbując wrócić na ziemię i uporządkować myśli. Czy to on ma się zmienić? W jaki sposób? Co ona chciała przez to powiedzieć? Jak to wszystko...

Kawa. Spojrzał na dzbanek z podwójnie mocną kawą, jakby to była tratwa ratunkowa na wzburzonym oceanie. Kawa mu pomoże.

Po wypiciu dwóch filiżanek na tyle doszedł do siebie, że był w stanie pojąć sens słów Lindsay. Mógł też już trzeźwo omawiać z nią dalszy ciąg konspektu i znowu bawić się jak nigdy. Nie tylko w tych chwilach, kiedy Lindsay z niezawodnym wyczuciem bezlitośnie wyłapywała niedociągnięcia, do których dawno stracił dystans, ale i dlatego, że w miarę upływu czasu zaczęła się ożywiać.

Kiedy był dzieckiem, uwielbiał książkę C. S. Lewisa „Lew, czarownica i stara szafa”. W niezapomnianej scenie lew Asian ożywia istoty, które Biała Czarownica zamieniła w kamienne posągi.

Jego oddech sprawia, że odzyskują one kolory i stopniowo stają się takimi, jakie były wcześniej - z krwi i kości, pełne wigoru i pasji. Tak jak Lindsay, gdy zajęła się tym, co powinna robić. Razem z nim.

- Tak, tak, tak. - Przerzucił kartkę zeszytu i dalej notował jak szalony, zapisywał pomysły, starając się nie zauważać rumieńców na policzkach Lindsay, błysku w jej oczach, sposobu, w jaki trzymała coraz wyżej głowę, jak gestykulowała coraz szerzej i jadła z większym zapałem.

Kiedy dotarli do końca, odetchnęła głęboko i spojrzała na niego ciemnymi oczami Audrey Hepburn.

Tak strasznie chciał ją pocałować, że musiał mocniej chwycić pióro i zmusić się do pozostania na miękkim aksamitnym siedzeniu krzeselka. Co za wcześnie, to niezdrowo.

- Dziękuję ci, Lindsay. To było... znakomite. Właśnie tego mi brakowało. Wiedziałem, że mi pomożesz.

- Nie ma za co. - Odetchnęła głęboko, poprawiła włosy.

Sprawiła wrażenie lekko oszołomionej. - Cała przyjemność po mojej stronie.

To było widać. Teraz powinien sprawdzić, do jakiego stopnia.

- A jak tam twoja powieść?

Widoczne w jej oczach ożywienie i energia zaczęły nagle znikać.

- Dobrze. Zbliżam się do końca.

Miał wrażenie, że jest wręcz odwrotnie.

- Czy to ta, którą chciałaś napisać? O szekspirologu, który znajduje dowody na to, że Szekspir był czarnoksiężnikiem o wielkiej mocy, a do tego kobietą?

- Nie. O kobiecie, która zaczyna nowe życie.

- I?

- No i... udaje się jej. - Wzruszyła ramionami, unikając jego wzroku.

- W małym miasteczku w Vermoncie?

- Z dala od smogu, zamętu i próżności wielkiego miasta, które leży gdzieś daleko...

I to wszystko? Żadnych przybyszów z kosmosu, żadnych międzynarodowych spisków, żadnych wilkołaków? O Boże, musi ją naprawdę ratować, póki nie jest za późno.

- Miasteczko pełne kur? Przyszpiliła go wzrokiem.

- Pełne kur.

- Jak jesteś zaawansowana?

- Och.... - Uciekła wzrokiem, potarła poręcz fotela. - Prawie skończyłam.

Kłamczucha. Praca nad książką kuleje. Hm! Zamiast namawiać ją na pozostanie tu przez tydzień, może mógłby zabrać ją do Los Angeles na piątkowe spotkanie z producentem?

- Gratuluję.

- Dziękuję. - Nie podniosła wzroku, zapadła się w sobie.

Ponowna przemiana w Blade Żalose Porzucone Dziecko prawie się dokonała. Nie miał już wątpliwości, że Lindsay jest nieszczęśliwa, że Vermont wcale jej nie służy i że musi ją ratować.

A więc jego kolejnym krokiem będzie zaproszenie jej gdzieś, gdzie tętni życie i gdzie coś się dzieje, żeby przypomniaws sobie, jak to jest, gdy żyje się na pełnych obrotach, za czym musi tęsknić, choć pewnie jeszcze o tym nie wie. Potem, stopniowo, pod pretekstem, że bez niej nie przekona producenta, namówi ją na wyjazd do Los Angeles, gdzie zaspokoi resztę jej potrzeb.

Chciałby się też przekonać, czy nadal jest w nim tak szaleńczo zakochana, jak on w niej, i czy, kiedy wróci, to już na dobre, żeby mogli wieść pasjonujące, pełne wrażeń życie, podbijając razem świat kina, zawsze razem, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Rdzawe liście klonu zaśpiewały.

Lindsay skrzywiła się. Nie, nie zaśpiewały. Liście zaszumiały.

Tylko że u każdego autora liście szumią. Musi znaleźć coś ciekawszego.

Powiodła wzrokiem po Central Parku, zastanawiając się, co napisać, żeby uniknąć kalki

Rdzawe liście klonu w górze przekazywały jej swoje tajemnice. Nadstawiła ucha, żeby posłuchać ich ukrytej mądrości, ale znowu myśli Ruby popłynęły ku Dirkowi, ku jego ciemnym oczom, które...

Zaraz, Dirk ma niebieskie oczy.

...ku jego niebieskim oczom, które nie dawały jej spokoju.

Bzdura. Totalna bzdura. Ale przynajmniej wydusiła z siebie parę słów. Później je wydrukuje.

Uległa pokusie i położyła się na rozgrzanej trawie: jeszcze jedno spragnione słońca ciało wśród wielu innych. Nowojorczyki wylegli masowo na dwór, by delektować się piękną, niemal letnią niedzielą. Dobrze chociaż, że tutaj, z dala od ulicznego zgiełku, było rozkosznie cicho i spokojnie. Kwitły tulipany, drzewa wypuściły pączki, przyszła wiosna - bajeczna pora, kiedy wszystko się odradza. Minie jeszcze parę tygodni, zanim wiosna dotrze do Vermontu, ale może się nią cieszyć także tutaj. Zima nie jest dla maminsynków. Cóż, bywały dni, kiedy myślała, kiedy jednak niebo robiło się czyste, a śnieg cudownie się skrzył, wychodziła nakarmić Freię i Friedę, wysłuchiwała ich porannych powitań, które powtarzały tak długo, póki im nie odpowiedziała. Chciała, by ich stadko było w komplecie.

Przez większość dni czuła, że także jej towarzyskie stadko jest w komplecie. Dzięki internetowi utrzymywała kontakt z przyjaciółmi i z rodziną, sąsiedzi ją zaakceptowali. Życie toczyło się wedle ustalonego porządku. Długie przespane noce. Długie drzemki. Nie przypuszczała, że jej organizm ma taką melodię do spania.

Okej. Zmusiła się, by usiąść. Drzewa. Przekazywanie tajemnic. Ple-ple.

Zdarzały się dni, kiedy myślała o Gavi...

Gwałtownie nacisnęła klawisz i skasowała ostatnie słowo. Były mąż ma na imię Dick.

Zdarzały się dni, kiedy myślała o Dicku. Wpływ, jaki wywierał na nią, słabł, co przypieczętowała stanowczym wyborem wolności i odżegnanie się od małżeństwa. Wreszcie, po latach uśpienia, górę wziął instynkt samozachowawczy. W końcu okowy całkowicie skruszeją i. pokryją się rdzawą rdzą.

Zaraz, cholera! „Rdzawą rdza”... Aż zgrzyta! A jeszcze wcześniej „rdzawe liście”. Co za kaleki język...

Westchnęła, znów się położyła. Ta książka prowadzi donikąd. Brakuje jej czegoś, jakiejś-iskry, jakiegoś tajemniczego wątku, który sprawi, że coś zaskoczy. Przymknęła powieki, czując na twarzy prażące słońce, i dała się ponieść wyobraźni, włączając się po Vermoncie i po domu Ruby, który podejrzenie przypominał jej dom.

Czego tej książce potrzeba? On zrobić, żeby nabrała rozmachu, a bohaterka przestała być papierową postacią?

Natychmiast wysoki, ciemny, podejrzenie podobny do Gavina mężczyzna pojawił się na terenie posiadłości podejrzenie podobnej do jej posiadłości, prowadząc TT roadstera z otwartym dachem, mijając ogromny klon na trawniku przed domem i zajeżdżając żwirowym podjazdem pod same drzwi. Wysiadł, wszedł do domu, wziął Ruby na rękę i...

Nie! Na Boga, nie! Przecież cały pomysł książki zasadza się właśnie na tym, że Ruby chce żyć po swojemu, a mężczyźni wcale nie są antidotum na wszelkie problemy. Skończyła z Dickiem, zaczęła żyć

na własny rachunek i jest jej z tym dobrze. W stu procentach dobrze. Idealnie.

Wracając z krainy fantazji, Lindsay stwierdziła, że leży sztywno wyciągnięta, z zaciśniętymi pięściami, z ponurą miną.

O Boże!

No dobrze, więc nie jest jeszcze tak zupełnie idealnie. Na to potrzeba czasu. Zrobiła jednak coś ważnego podczas tego weekendu: stanęła twarzą w twarz z Gavinem, przebywała z nim sam na sam, pokazała mu, jak ważna może być spokojna rozmowa. Uśmiechnęła się na wspomnienie wspólnego śniadania i rozdygotania Gavina, gotowego popędzić gdzieś w poszukiwaniu dodatkowych wrażeń-

Żałowała, że nie miała przy sobie wideo-kamery. Pokazałaby mu, jak stopniowo się relaksował, koncentrował, jak z minuty na minutę coraz lepiej rozumiał proponowane przez nią zmiany scenariusza. Żałowała, że nie mogła mu pokazać, jak wyglądała się jego twarz, jak znikało z niej napięcie, a ruchy łagodniały, mowa stawała się powolniejsza, jednym słowem, jak zwalniał tempo, nabierał swoistego wdzięku, upodabniał się do Gavina, jakiego знаła przed laty.

Nie ulegało wątpliwości, że Gavin czuł się nieszczęśliwy w Los Angeles i że ona nie uratuje go przed morderczym trybem życia, który tak bardzo uzależnia, niszcząc przy tym zdrowie. Mogłaby jednak namówić go na przyjazd do Vermontu, pokazać mu trochę prawdziwego życia, nauczyć cieszyć się z pór roku i ze świeżego powietrza, a może nawet... przekonać go do jej kurek.

Dlaczego nie zacząć od zaraz? Mogliby spędzić miłe i spokojne popołudnie w Central Parku. W powszedni dzień, kiedy nie kręcą się tutaj uwiecznieni w biurach ludzie. Małymi kroczkami w drodze do odzyskania zdrowia...

Tylko... czy sama sobie z tym poradzić

Kiedy prawie ją pocałował... Wielkie nieba! Półtora roku po rozstaniu i naraz taki poryw... zupełnie jak za dawnych cudownych czasów, na początku, kiedy świat należał tylko do nich, jeszcze zanim znalazły się w nim Marlie i Alex, a teraz Kaytee, kimkolwiek ona jest. Ileż z nich chciało mieć kawałek niego dla siebie. Całe szczęście, że znalazła w sobie siłę i wycofała się w porę. To Vermont tak ją uodpornił i pozwolił lepiej rozeznaczyć się we własnych odczuciach. Nie da znów wciągnąć się do piekła, z którego z takim trudem się wyrwała. Ponieważ...

- Gavinie, spójrz!

Błyskawicznie otworzyła oczy, oparła się na łokciach i pomimo ostrego słońca spojrzała przed siebie. Gavin? Jej Gavin?

Nie.

Para starszych ludzi przystanęła przy rabacie z tulipanami.

- Coś ci to przypomina? - Kobieta zwróciła pełne uwielbienia oczy na towarzyszącego jej mężczyznę, który wpatrywał się w kwiaty niespokojnym, nieobecny wzrokiem.

- Kwiaty.

Kobieta uśmiechnęła się czule i poprawiła mężczyźnie kapelusz.

- Tulipany. W liceum tak długo przynosiłeś mi wielkie bukiety tulipanów, aż zgodziłam się pójść z tobą na tańce, pamiętasz?

Mężczyzna zmarszczył czoło, nieudolnie poruszył ustami:

- Kwiaty.

- Tak, kochanie. - Starsza pani wytarła chusteczką kąciki jego warg. - Tulipany.

- Kwiaty.

Poprowadziła go dalej, jej drobna postać przylgnęła do niego, podtrzymując go, zachęcając do ruchu.

Ze łzami w oczach Lindsay złapała laptopa i zapisała wszystko, co usłyszała i zobaczyła. Para mogłaby być rodzicami Ruby - jej ojcem z Alzheimerem i troszczącą się o niego matką.

Spojrzała na oddalające się dwie kruche istoty przytulone do siebie. Odprowadzała ich wzrokiem, kiedy znikali wśród drzew, a potem wyszli z drugiej strony na zalaną słońcem przestrzeń i wolnym krokiem zniknęli z pola widzenia. Ogarnęła ją rzewna tęsknota zaprawiona kroplą goryczy.

A może jej bohaterka dostrzeże ich i uświadomi sobie to, czego zawsze pragnęłaś Starzenia się z mężczyzną, którego kocha i o którego się troszczy, piękne i spokojne wspólne życie, dopóki śmierć ich nie rozłączy?

- Och, ale frajda! - Wyprzedzając Gavina, Kaytee wpadła jak burza do hotelowego pokoju, wykonała radosny, choć niezdarny piruet i padła na łóżko, wzdychając z zachwytem. - Czy to było aż tak straszne?

Gavin wszedł za nią, taszcząc dziesiątki tysięcy firmowych toreb z zakupami, które rzucił na podłogę koło łóżka.

- To był koszmar - warknął.

- Daj spokój. - Kaytee wskazała wolne miejsce obok siebie i uśmiechnęła się zalotnie. - Obiecałam ci nagrodę...

Zdobył się tylko na półuśmiech, usiadł w nogach łóżka i machinalnie poklepał ją po nodze.

- Myślałem raczej o deserze, na przykład o banana split.

Kaytee wydeła błyszczące usta, przeturlała się i oparła na łokciach.

- To przez nią, prawda?

- Tak... - Po krótkim namyśle uznał, że nie ma sensu kręcić czy iść w zaparte.

Kaytee przysunęła się i chwyciła zębami płatek jego ucha, nachylając się tak, że jej imponujący biust dosłownie wylewał się z głębokiego dekoltu.

Reakcja jego ciała była żadna. Związał się z Kaytee wkrótce po tym, kiedy doszła do niego wieść, że Lindsay kupiła dom w Vermoncie. Był to więc definitywny koniec ich związku. Mimo to wciąż wstrzymywał oddech na dźwięk telefonu czy dzwonek do drzwi, ale cóż, nie był stworzony do samotności i nie chciał z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc tonąć w rozpacz, a Kaytee na pierwszy sygnał ochoczo wskoczyła do jego łóżka.

Korzyść była obopólna. Ona - całkiem niezła aktorka - była pełna życia, zabawna i niezbyt wymagająca. Wyjątkiem był seks - w tej sferze była niesamowita i tego samego oczekiwała od partnera - a także domagała się protekcji w sprawach zawodowych. On natomiast miał z kim sypiać i bywać na przyjęciach. Przyzwyczyił się do Kaytee jak do wygodnego i pięknego stroju, który zawsze miał pod ręką. W

zamian przedstawiał ją aktorom, agentom i producentom. Ponieważ była utalentowana, taka protekcja miała sens i nie narażała go na śmieszność czy kłopotliwe sytuacje, okazała się przy tym skuteczna.

Dopóki nie spotkał ponownie Lindsay, nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo Kaytee go nudziła. Myślenie nie należało do jej najmocniejszych stron. Poza tym... nie była Lindsay.

- Założę się, że przy mnie o niej zapomnisz.

- Znów złapała zębami płatek jego ucha.

- Nie sądzę, Kaytee. - Pocałował ją w czoło.

- Nie tym razem.

- Nie powiesz chyba, że do niej wracasz?!

- Nie otrzymałem takiego zaproszenia.

- A gdyby?

- Ja... - skrzywił się. - Nie, Kaytee, ja...

- Och, wyduś to wreszcie.

- Okej. - To nie była łatwa rozmowa. - Gdyby... to bez chwili wahania.

- Tak myślałam. - Podniosła się z łóżka i podeszła do okna. - Bob Franklin zaprosił mnie na wypad do Cancun nad Morzem Karaibskim.

Gavin zaklął ze złości. Walący Po Plecach Bob znowu próbuje podstawić mu nogę! Drażniła go też myśl, że ktoś inny będzie z Kaytee.

- Chcesz pojechać?

Wzruszyła ramionami i odwróciła się, przekrzywiając głowę na jedną stronę - tę lepszą, bowiem Kaytee dobrze wiedziała z sesji zdjęciowych, pod jakim kątem wygląda najlepiej.

- Wolałabym zostać z tobą, Gavinie. Jesteś bardziej rozrywkowy. Ale Bob to równy gość, ma znajomości, więc jeśli przestałam cię interesować, to czemu nie.

- Nie chodzi o to, że przestałaś mnie interesować. Jestem tylko...

- Bardziej zainteresowany nią.

Pokiwał głową, czując się jak kompletny idiota.

- Myślałem, że to minęło, ale kiedy ją zobaczyłem ponownie...

- Rozumiem - powiedziała cicho, podeszła do drzwi i otworzyła je, by mógł wyjść. - Kiedyś też miałam kogoś takiego. Kochałam, Gavinie. Naprawdę kochałam. - W jej oczach zalśniły łzy. Już nie była Kaytee Biuściastą Idiotką. - Zginął w wypadku samochodowym. Masz szczęście, że jeszcze możesz ją odzyskać.

- O Boże, Kaytee, tak mi przykro.

- W porządku. To było trzy lata temu. Pogodziłam się z jego śmiercią, wspominam to, co nas łączyło. Miliony ludzi nie zaznały tego co my. Prawdziwa miłość, Gavinie, prawdziwa miłość... Ty to wiesz, ja to wiem... Choć u mnie trwało to tak krótko... - Głos jej się załamał.

Przytulił ją mocno. Kaytee objęła go za szyję i pocałowała namiętnie.

- Gavin, wiele ci zawdzięczam. Było mi z tobą cudownie i...

- Czy wszyscy muszą wysłuchiwać, jaki to on jest cudowny?

Ociekający jadem głos Lindsay sprawił, że Gavin aż cały się skurczył. Cholera, trudno o gorszy moment!

Odsunął Kaytee, która popatrzyła na niego spłoszonym wzrokiem.

- Lindsay, nie stało się nic, czym należałoby się przejmować, uwierz mi.

- A kto się przejmuje? - Wzruszyła ramionami tak mocno, że prawie dotknęła nimi uszu. Nie przejmowała się... Do diabła, była wściekła jak szalejące tornado!

Dlaczego więc cieszył się jak idiota? Bo gdyby minęła ich obojętnie, dopiero miałby powód do zmartwienia.

Kaytee cofnęła się nieco i wskazała na Gavina.

- Właśnie się żegnaliśmy.

- Pożegnanie przed dwudziestominutową rozłąką? Jakie to wzruszające. I jak ty to zniesiesz, Gavinie?

Również on cofnął się o krok.

- Kaytee chciała powiedzieć, że właśnie skończyliśmy nasz związek.

- Już? Tak wcześnie rano? I przez to zapomniałeś się umyć i zaciągnąć suwak?

Niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem. Do licha, uwielbiał ją taką. Nie znał drugiej tak fantastycznej kobiety, tak zabawnej i o tak niewyparzonym języku. Właśnie takiej jak teraz - na pełnych obrotach i w swoim żywiole.

No, może jeszcze nie do końca w swoim żywiole, na to było trochę za wcześnie, ale po tym, co zobaczył i usłyszał, mógł się spodziewać, że już wkrótce Lindsay Kenyon naprawdę pokaże pazury.

- To ja już znikam. Dziękuję ci za wszystko, Gavinie. - Kaytee posłała mu smutny, słodki uśmiech, pocałowała go w policzek, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Gavin odwrócił się do Lindsay, wziął się pod boki.

- Musimy porozmawiać...

- Nie, nie, nie. - Ruszyła korytarzem, pomachała na do widzenia.

- Nie trudź się. Właśnie szłam do windy. Nie krępuj się i wracaj do niej.

Podążał za nią korytarzem i przeszedł w trucht, kiedy Lindsay zaczęła uciekać. Dogonił ją, zanim dopadła windy, odciągnął i przyparł do ściany.

- Boisz się czegoś?

- O co ci chodzi?

- Uciekałaś. Znowu.

- Chciałam złapać windę.

- Czyżbyś zarezerwowała kurs? Szarpnęła się bez przekonania.

- Odczep się ode mnie.

- Dlaczego?

- Całowałaś się z nią.

- Zrywaliśmy z sobą.

- Byliście do siebie przyklejeni.

- Bo to było przyjazne zerwanie. Widzisz, Lindsay, w taki sposób powinno się kończyć związki. Pogadać, wyjaśnić wszystko,

rozstać się w przyjaźni. Ty zaś, kiedy uznałaś, że już nie chcesz być ze mną, wykonałaś ostry numer.

- Ostry numer? Baranie, mówiłam ci, że odchodzę, wyjaśniłam jak pastuch krowie, dlaczego! Wcześniej wiele razy dawałam sygnały, żądałam, żebyś to przedyskutował ze mną, ale nie miałeś zwyczaju mnie słuchać! Nigdy! Absorbowało cię co innego. Wstawianie między nas każdego, kogo poznałeś.

Przysunął się wymownie blisko,

- Nikogo między nami nie ma.

- Tylko się nie waż... - Znowu zaczęła się szarpać, ale bez większej energii, której zwykle jej nie brakowało.

- Na co mam się nie ważyć?

- Flirtować ze mną po tym, jak pożerałeś szyję innej kobiety. Nie waż się nawet próbować mnie dotknąć, bo ci...

-Co?

- Bo ci... - Spojrzała gwałtownie w bok, szukając odpowiedniej pogróżki.

- Co zrobisz?

- Wyliczę wszystkich mężczyzn, z którymi spałam po zerwaniu z tobą.

Au! Odskoczył jak oparzony, tyle że nie piekły go palce, a serce. Na myśl o niej z kimś innym... Miał ochotę walić we wszystko, co było pod ręką.

Ależ z niego idiota. Chyba nie spodziewał się, że Lindsay przejdzie do porządku dziennego nad tym, co zobaczyła w pokoju Kaytee.

- Okej. - Głos uwiązał mu w gardle. - Trafiony, zatopiony.

Czekał na jej triumf i swoją klęskę. Był tak bardzo naiwny... a może po prostu chronił siebie... że przez cały ten czas rozstania widział Lindsay, jak samotnie w swej chatce pracuje przy komputerze! Przecież była w rozkwicie kobiecości. Dlaczego miałyby dochować wierności mężczyźnie którego rzuciła?

Nie triumfowała. Zamiast tego spuściła wzrok na turkusowo-złocisty dywan.

- Gavin.

- Tak...?

- Ta lista nie jest zbyt długa.

- Lindsay, nie rób tego. Nie mogę...

- Gavin. Zamknął oczy.

- Co?

- Jest pusta.

Natychmiast otworzył oczy. Ucisk w klatce piersiowej przestał się rozprzestrzeniać, za to pojawił się wstyd, że to on zblądził, wiążąc się z Kaytee. Wstyd, dojmujący ból i przemożna czułość, a także... ulga typowego macho.

Podniosła smutne oczy, a siła tego, co obudziło się między nimi, była tak ogromna, że nie był pewny, czy to wytrzyma.

- Zostań przez ten tydzień. Poleć ze mną do L.A. w czwartek wieczorem. W piątek poszlibyśmy do wytwórni zaprezentować konspekt scenariusza.

Nie zgodzi się. Ta prośba padła zbyt wcześnie. Powinien powoli urabiać Lindsay, spędzać z nią czas, dostarczać rozrywek, uwodzić ją

wspominaniem najlepszych chwil w ich wspólnym życiu i wizją tego, co przed nimi. Ale widok jej słodkiej, zagubionej, bladziutkiej twarzy tak go poruszył, że musiał poprosić ją teraz. Musiał się dowiedzieć, czy jest jakaś nadzieja na wspólną przyszłość.

- Mam teraz własne życie w...

- W Vermoncie. Wiem. Nie proszę cię, żebyś

z niego zrezygnowała. - Jeszcze nie. - Chodzi tylko o to spotkanie. Konspekt jest dobry.

- Jest znakomity. Sprzedasz go i beze mnie.

- Och, nie w tym rzecz. - Dotknął jej policzka, poczuł muskające jego dłoń miękkie włosy. - Pojedź tam ze mną... dla mnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Piknik w Central Parku. Gavin z determinacją dźwigał wyładowany kosz Piątą Aleją w stronę wejścia do parku od 79 Ulicy i zielony koc na wierzchu. Nowy Jork ma parę najlepszych na świecie restauracji, tymczasem Lindsay uparła się na jajka na twardo w ostrym sosie, kanapki z szynką, na wyboistą ziemię i insekty! Co gorsza, ponieważ, jak stwierdziła, wiosną wieczory są chłodne, a słońce zachodzi około wpół do ósmej, powinni zjeść to wszystko przed szóstą.

Musiał sobie powtarzać, że nie jest z nią teraz najlepiej, ponieważ w Vermoncie rzucono na nią jakieś czary, i dlatego zmierza do parku na piknik w porze, kiedy wytwornie ubrani normalni ludzie udają się na koktajl do eleganckiego baru.

Biedna Lindsay. Obiecał sobie, że jeżeli przeżyje tę mękę, zrobi wszystko, co w jego mocy, aby ją uratować. Na przykład po pikniku zabierze ją na dancing do „Club Tigre”.

- Jesteśmy na miejscu. - Lindsay zerknęła na plan parku. -
Wejście od 79 Ulicy. Poszukajmy Cedar Hill.

- Nie „Blueberry Hill”? - zakpił. Zmierzyła go wzrokiem.

- Nie.

- Dobra. - Posuwał się do przodu, nucąc niczym żalonna podrobka Louisa Armstronga „I found my thrill on Blueberry Hill...”, za co został wynagrodzony cichym śmiechem.

Znaleźli Cedar Hill - rozległy trawnik na stoku wzgórza z drzewami, które ledwie wypuściły listki. Zastali tu już paru dzielnych piknikowiczów, którzy korzystali z dobrodziejstw słonecznego tygodnia, choć Gavin dostrzegł sporą ilość ciepłych okryć koło jednej z rodzin.

Hm. Może Lindsay będzie też potrzebowała kogoś do rozgrzania...

To by mu się podobało. Przytulać się do siebie na zboczu pagórka o zmierzchu, po staroświecku, jak tamtego wieczoru na plaży w Santa Monica...

Lindsay znalazła miejsce wysoko na wzgórzu z widokiem na park i Metropolitan Museum of Art, i rozłożyła koc.

Usiadł, wypróbował uprzednio szereg pozycji, a ta, którą ostatecznie wybrał, też nie była najlepsza. Uwierało go w plecy, a pod siedzeniem czuł kamyczki i grudki ziemi.

Na pewno nie był dzieckiem natury. Komu przeszkadzają miękkie fotele w przytulnym wnętrzu z kelnerami na zawołanie i z pełnym barem?

- Mmm, pasztet, krakersy, kurczak, sos, sałatka, słodkie maślane bułeczki. Truskawki! Jeszcze ich w tym roku nie jadłem. Och, i czekoladowy tort z malinami. Prawdziwa rozpusta.

Rzucił okiem na starannie zapakowane paczuszki i ze znanstwem wybrane potrawy, które wyjmowała Lindsay. Żadnych jajek na twardo i kanapek z szynką. Chyba da się przeżyć.

- Och, i butelka gazowanego soku z grejpfruta.

Wzruszył ramionami. Skoro w Central Parku alkohol jest zabroniony, z dwojga złego lepsza byłaby woda.

Wyjął ze swojej torby przenośny odtwarzacz CD i głośniki.

- Co to takiego? - zimno spytała Lindsay. Gavin uniósł brew.

Znał ten jej ton.

- Muzyka. Pomyślałem, że może posłuchamy trochę jazzu.

- Po co?

Roześmiał się na widok jej zdegustowanej miny.

- Dlaczego nie?

- Bo to jest nieprawdziwe, to pachnie cywilizacją, wielkim miastem, to narusza...

- Lindsay, przecież znajdujemy się w samym środku jednej z największych metropolii świata.

- Wiem - powiedziała zatroskana. W takich chwilach zawsze miał ochotę wziąć ją w ramiona i sprawić, żeby świat stał się dla niej lepszy. - Ale wolę udawać, że nie jesteśmy w samym środku metropolii.

- Okej. - Zrezygnował z jazzu. Pozwoli jej tutaj rządzić, ale później, kiedy weźmie ją na tańce, przejmie prowadzenie. - To gdzie teraz jesteśmy?

Podawała mu szklanekę gazowanego soku grejpfrutowego - nie zdobył się na odmowę - i trąciła się z nim.

- Siedzimy w głuszy kanadyjskiej. - Nad głowami z rykiem przelatywał helikopter, niemal zagłuszając jej słowa. - Zobacz lecą dzikie kanadyjskie gęsi. - Z uśmiechem uniosła rękę.

- Och, rzeczywiście. - Wskazał na grupę hiphopowców przesadnie afiszujących swoją obecność. - Mamy też bujną nie tylko florę, ale i faunę.

- No właśnie! - Podała mu kartonowy talerz z krakersami z pasztetem. - Pamiętasz, kiedy ostatni raz byliśmy razem na pikniku?

Nie pamiętał. Zapamiętał za to wiele innych wspólnych zdarzeń.

- Chyba tak... - Miał nadzieję, że Lindsay mu podpowie. - Jasne. Czy to nie wtedy... znaleźliśmy się w dosyć... - Jej karcący wzrok sprawił, że natychmiast przestał bajdurzyć. Poczł się jak idiota. - Nie pamiętam. Bardzo mi przykro.

- Tego dnia była przerwa w dostawie prądu i nic nie działało, więc zapakowaliśmy kanapki z masłem orzechowym i ciepłą lemoniadę i pojechaliśmy do Charmlee Wilderness Park w...

- Malibu.

- Tak, Malibu... Pamiętasz, jak tam było cicho i spokojnie?

Oczywiście! Że też nie pomyślał o tym od razu. Taak. Pokryte warstwą kurzu wzgórza i gdzieś tam jakieś kwiatki.

- Jasne. Okropnie zrzędziliśmy na ten niespodziewany brak prądu...

- Ale w końcu byliśmy zadowoleni, że trafił nam się taki wypoczynek. Bez laptopów, scenariuszy, telewizji...

- No tak. - Na wspomnienie wspólnie spędzanego czasu z Lindsay poczuł się dziwnie rozluźniony.

- Leżeliśmy i słuchaliśmy śpiewu ptaków, obserwując kłębiące się chmury...

- Robiliśmy też parę innych rzeczy. - Mrugnął okiem i z przyjemnością zauważył rumieniec na twarzy Lindsay. W intensywnym świetle przed zachodem słońca jedwabiste ciemne włosy i mleczna karnacja kontrastowały żywo z ciemną zielenią na drugim planie.

Czuł, że nie wytrzyma do wieczora, jeżeli jej nie pocałuje.

- Tak, robiliśmy jeszcze parę innych rzeczy. - Odwróciła się, zaczęła szykować kolejne smakołyki, podczas gdy on nalał sok do szklanek i wyszperał z koszyka serwetki i sztucce.

Potem jedli i wspominali, nadrabiając stracony czas. Opowiedziała mu o swoim domu, o ziemi i - tak! - o kurach, opisując wszystko tak żywo, że bez trudu mógł to sobie wyobrazić.

Słońce zaszło i zaczynało robić się chłodno. Pora wracać. Chciał zabrać Lindsay na tańce, pójść gdziekolwiek, żeby się rozruszała.

Ale było mu tak wygodnie, kiedy leżał zasluchany w jej piękny głos, wyczarowujący cudowne minione lata, że poczuł się senny, syty i... szczęśliwy.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak dobrze się czuł.

I nie chciał o tym myśleć. Ziewnął z zadowolenia... naprawdę nie chciało mu się o niczym myśleć.

Lindsay zjadła ostatni kęs tortu czekoladowego. Dawno tyle naraz nie zjadła, ale wszystko tak jej smakowało, że nie mogła przystopować. Nie mogła też przestać patrzeć na Gavina. Na jego odprężoną twarz, na czarne rzęsy na policzkach, miękkie lekko rozchylone usta, głęboki, regularny oddech. Wyglądał, jakby mu ubyło pięć lat, jak wtedy, kiedy pracowali razem, zanim nie dopadł go stres,

zanim nie zatęsknił za sławą, zanim nie połknął hollywoodzkiego bakcyła, nie zatracił się.

Położyła przy nim na boku, z rękami pod głową, i wpatrywała się w śpiącego mężczyznę, którego kochała.

Którego nadal kocha. Przekonała się o tym, gdy ujrzała, jak całował się z Kaytee. Wiedziała, że nie skłamał, mówiąc o pożegnalnym pocałunku, ale zobaczywszy go w takiej sytuacji, uprzytomniła sobie, jak bardzo do niej należy - a ona do niego - nawet jeśli w swojej dumie i poczuciu niezależności wypierała się tej prawdy.

Gdyby była szczerą wobec siebie, przyznałaby, że to właśnie z tego powodu nie dążyła do związku z innym mężczyzną w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Wmawiała sobie, że romantyczne odosobnienie jest jej wyborem, że musi się najpierw pozbierać, że nie jest jeszcze gotowa na nowy związek, podczas gdy tak naprawdę nie byłaby nigdy gotowa, póki Gavin żyje.

Ach, oczywiście bolało ją, że związał się z inną kobietą, ale ludzie radzą sobie z cierpieniem na różne sposoby, a poza tym Gavin cierpiał bardziej od niej, bo przecież to ona od niego odeszła. A może... może, skoro zerwał z Kaytee dwa dni po ponownym ujrzeniu Lindsay... może też czuł, że wciąż należą do siebie...

A skoro już zdobyła się na chwilę szczerości, nie zaszkodzi dodać, że nie zamierzała namawiać Gavina na przyjazd do Vermontu wyłącznie dla jego dobra. Oczywiście zależało jej, aby zaczął prowadzić zdrowy tryb życia, ale miała także nadzieję, że może

znajdą wspólny język, jakąś płaszczyznę porozumienia, dzięki czemu zejda się na dobre. Może nawet ze ślubem włącznie.

Na pewno wygrała tę rundę. Gdy tylko wyciągnęła Gavina z betonowej dżungli i przyprowadziła na łono natury, zrelaksował się i odprężył. Jego organizm odrabiał zaległości. Och, nie mogła już się doczekać, żeby mu podokuczać. Dobrze sobie, on i drzemka!

Powieki zaczęły jej opadać. Przysunęła się bliżej do Gavina. Może spanie o zmroku w Central Parku nie jest najlepszym pomysłem, przecież to nie Vermont. Chyba nie powinna... zasypiać...

Ktoś ją dotknął.

- Lindsay.

To Gavin. Wyrwała się ze snu i podniosła głowę, krzywiąc się z bólu.

- Co się stało? Coś cię boli?

- Zesztywniała mi szyja. - Skrzywiła się ponownie. - Która godzina?

- Dziewiąta.

- Dziewiąta! - Usiadła, pocierała szyję i kręciła nią na boki.

- A co, jesteś gdzieś umówiona? - Zaczął ją delikatnie masować. Mimo wyraźnego chłodu jego palce były ciepłe, jakże miłe w dotyku.

- Nie, po prostu się cieszę, że między nami nie wszystko się rozpadło. - Odwróciła głowę na tyle, żeby spojrzeć na jego twarz, na którą padało blade światło latarni oświetlających alejki parkowe.

- Ja też. - Nagle, ot tak po prostu, złożył delikatny pocałunek na jej wargach, przyprowadzając ją o dreszcz rozkoszy, budząc w niej pragnienie do dalszych pieszczot. - Zabierajmy się stąd.

Wstał z ziemi i zaczął pakować rzeczy.

- Idziemy? Dokąd? - Do jego pokoju? Czy to na pewno dobry pomysł? Jej ciało mówiło tak, ale rozum się wahał.

- Na tańce. Do nowego klubu na Gansevoort Street. Nazywa się „Club Tigre”. Kaytee opowiadała mi o nim. Podobno jest fantastyczny.

A więc nie do jego pokoju, tylko w zwariowany, chaotyczny świat Nowego Jorku! Postanowiła zachować spokój. Nie spodziewała się przecież, że Gavin zmieni się już po jednym pikniku. Niemniej po tak cudownym wspólnie spędzonym czasie ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, był hałaśliwy lokal.

- Okej - usłyszała swój głos i aż się wzdrygnęła. Dlaczego po prostu nie zmyje się i nie pójdzie spać?

Ponieważ chciała być z nim. Ponieważ tydzień jest krótki, Gavin musi być w piątek w L.A., a ona nie może liczyć, że jej sąsiad Frank będzie karmić Friedę i Freię w nieskończoność. I ponieważ, jeżeli jest jakaś nadzieja na to, żeby ona i Gavin zrozumieli, co ich różni, i mogli zbudować wspólną przyszłość, to jego wypad do miasta i jej spanie w hotelu na pewno nie załatwią sprawy.

- Wspaniale. - Złożył obrus i wstał. - Gotowa?

- Nie powinnam się przebrać w coś eleganckiego?

- Czerń jest zawsze elegancka.

Nie przekonał jej, ale ponieważ i tak nie przywiozła z sobą niczego stosownego, była skazana na to, co miała na sobie. Będzie się czuła fatalnie i nie na miejscu w Klubie Jakmutam, a nawet jeszcze gorzej.

Złapali taksówkę w Piątej Alei, wpadli do hotelu, bo Lindsay stwierdziła stanowczo, że musi się odświeżyć, choć Gavin zapewniał o jej zachwycającym wyglądzie, po czym ruszyli do „Club Tigre”.

O rany! Lindsay z ociąganiem wysiadła z samochodu, przyglądając się tłumowi szykownych ludzi, którzy czekali na wejście do środka. Oni z kolei przyglądali się jej. Stanęli z Gavinem na końcu kolejki i czekali, wymieniając od czasu do czasu krótkie uwagi, podsłuchując rozmowy o terapeutach, zakupach oraz o rozpoczynającym się sezonie bejsbola. Muzyka, która dudniła przed wejściem, stawała się głośniejsza w miarę, jak się zbliżali, waliła z całych sił, ilekroć otwierały się drzwi, które wchłaniały kolejną porcję ludzi.

W końcu znaleźli się w środku, skąd Lindsay chciała natychmiast wyjść. Czerwone światła, ciemne kąty, ogólnie wrażenie jakiejś wilgotnej piwnicy. Przytłaczające. Wirujące ciała, muzyka, od której można ogłuchnąć, dym, upał i ścisk w za niskim pomieszczeniu.

Że też kiedyś w czymś takim uczestniczyła! Zerknęła na idącego przodem Gavina. Uśmiechał się od ucha do ucha i torował sobie drogę do baru, ciągnąc ją za sobą. Tak - oczywiście w przenośni - wyglądało mniej więcej całe ich życie w Los Angeles. On prowadził, wiedząc dokładnie, czego chce i dokąd się udają, ona przyczepiona do niego, jakby od tego zależało jej życie...

Jakimś cudem zwrócił na siebie uwagę barmana, po chwili wsadził jej w rękę przezroczysty napój z lodem

- Woda sodowa? - Musiała krzyknąć, żeby ją usłyszał. - Dżin z tonikiem?

Potrząsnął głową i odkrzyknął coś, co zabrzmiało jak „Ky-pee-reen-ya”.

Cokolwiek to było, wypła duży łyk. Mmm.

I jeszcze jeden.

Cholernie dobre. Gęste i mocne, ale dające się pić bez przymusu.

Znalazła w miarę niezatłoczony kąt i spróbowała przekrzyknąć zgiełk, żeby trochę porozmawiać, ale nie dała rady.

Kiedy dopijała napój, harmider nie wydawał się już taki straszny, a chyba i tłum przerzedził się trochę. Co więcej, poczuła, że porusza się rytmicznie do taktu muzyki. Najpierw nogi, potem biodra, jakby chciały się trochę pokołysać, na jej wargach zagościł uśmiech, twarz jej się zarumieniła, a w ciało wstąpiła energia.

Uwagę Lindsay zwróciła tańcząca obok para. Z przyjemnością przyglądała się nieco dzikiej i zmysłowej twarzy kobiety i nonszalanckiemu mężczyźnie. Ich ciała falowały, podnosząc to opuszczając ręce, kręciły się razem, a potem wirowały oddzielnie. To było piękne. Rewelacyjne. Prawdę mówiąc, Lindsay polubiła wszystkich na sali. Tak, nawet pewnego samotnego faceta, jedyne, którego być może nikt nie chce pokochać, z włosami błyszczącymi od żelu i nieśmiałym wyrazem twarzy, pomimo iż robił rozpaczliwe wysiłki, żeby wyglądać na rozbawionego twardziela. Jego też polubiła.

Każdego! Cały Nowy Jork!

I chciała tańczyć, dopóki krowy nie wrócą do domu. Zaraz... tu nie ma krów, to nie Vermont. Może więc tańczyć całą noc!

A niech to gęś kopnie.

- Gavin! - krzyknęła. - Zatańcz ze mną.

Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz, ale było jej wszystko jedno, jeśli uznał to za swój triumf. Przede wszystkim chciała wyjść z tego kąta i włączyć się w zbity tłum, poszaleć, wtopić się w ten wielki, porywający i fantastyczny świat.

Złapała Gavina za rękę, pociągnęła na parkiet i rzuciła się w taniec. Tańczyła i tańczyła, światła mrugały, muzyka rozbrzmiewała w jej piersi. A w miarę jak tańczyła, przybywało jej energii. Czowała się lekka, odmieniona, nie mogła przestać się uśmiechać, nie mogła przestać się poruszać. Był to najbardziej niesamowity odlot w jej życiu - poza wieczorem, kiedy zakochali się w sobie z Gavinem.

Muzyka zwolniła tempo. Gavin przycisnął ją do siebie. Oddychała ciężko, była czerwona, roześmiana, podniecona i w swoim żywiole. Bawiła się jak nigdy w życiu.

Znów zaczęli się poruszać, tyle że wolniej. I choć nie padło ani jedno słowo, Lindsay wiedziała, że właśnie mówią sobie o tym, że znów są razem. Że zawsze byli razem, niezależnie od wszystkiego.

Napotkała jego wzrok i jak zawsze, gdy byli razem i naprawdę patrzyli na siebie, miała dziwne wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Uśmiechnęła się promiennym powitalnym uśmiechem, on zaś pocałował ją tak jak kiedyś, za pierwszym razem, na kanapie przed telewizorem. Tyle tylko, że teraz miłość odżyła ze zwielokrotnioną siłą.

Objęła go za szyję, przywarła do niego...

Gavin oderwał się pierwszy i ruszył z nią do wyjścia - oczywiście przez taką ciżbę nie można było przedrzeć się szybko. Ale miała wrażenie, że biegną.

Złapali taksówkę, w milczeniu, trzymając się za ręce, dojechali do hotelu. Jakby nie mieli sobie nic do powiedzenia, jakby liczyło się tylko to, co przeżywają - to głębokie, solidne jak skała uczucie, którego jej tak dotąd rozpaczliwie brakowało

Potem, u niego w pokoju, zrzucili z siebie ubrania i całowali się jak wariaci, jakby chcieli nadrobić półtoraroczne zaległości.

W łóżku zaś wiedzieli dokładnie, co, kiedy i jak długo, ponieważ znali się na wylot i to się nie zmieniło i nigdy nie zmieni, podobnie jak istniejąca między nimi magia.

Później leżeli splątani z sobą i bezgranicznie szczęśliwi.

Miłość... Tak wygląda miłość, pomyślała Lindsay.

- Gavin...

- Mhm.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Tak?

- Ja cię... Kocham. - Głos jej się załamał na ostatnim słowie.

- Lindsay.

- Mhm?

- Też mam ci coś do powiedzenia.

- Tak?

- Kocham cię.

Ze śmiechem starła łzy szczęścia.

- Nie wierzę.
- Poważnie.
- Co za zbieg okoliczności.

Podniósł głowę z poduszki, uśmiechnął się szeroko.

- Niesamowicie mi się z tobą tańczyło.

- Dziękuję za piknik.

- Podobało ci się?

- Bardzo.

- Cieszę się.

- Myślałem... - Z powrotem położył głowę, przyciskając Lindsay do siebie, wpatrując się w sufit.

- Tak?

Czyż nie była to wymarzona chwila, by jej powiedzieć, jak bardzo pragnie zamieszkać w jakimś spokojnym miejscu, gdzie takie pikniki są każdego dnia?

- Myślałem o tamtym wieczorze, kiedy zostaliśmy parą. Jakie to niesamowite, że z przyjaciół nagle, w jednej chwili, przeobraziliśmy się w kochanków?

- Tak. - Nie tego się spodziewała, ale podjęła temat. - To był nagły wybuch uczucia. Tak samo jak dzisiaj, kiedy tańczyliśmy.

- Kochanie, ja przeżyłem taki nagły wybuch uczucia, kiedy nasze oczy spotkały się podczas gali.

- Naprawdę? Chryste, a ja nie.

- Naprawdę nie?

- Nie kłamię - stwierdziła ze śmiertelną powagą. - Nic nie poczułam.

- Akurat! - Roześmiał się. - Kłamczucha.

- Monsieur, je ne suis pas la menteuse! - oburzyła się po francusku

- Akurat... Mam dla ciebie dobre wiadomości. To się stało pewnego wieczoru - sześć lat temu. To był początek wszystkiego

- Nie wracajmy do przeszłości. Co było, minęło.

- Ale nie dla nas. Zrobiła nadąsaną minę.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie wskoczę do łóżka Brada Pitta?

- Oczywiście, że nie. Nadal jesteś związana ze mną.

- O raju! - Narysowała palcem kółko na jego piersi. - Więc... co teraz będzie?

- Będzie tak, że spróbujemy jeszcze raz. Poleć ze mną w czwartek do Los Angeles. Sprawdź, jak się z tym czujesz. Zajmij się scenariuszem. Pomóż mi.

Nabrała dużo powietrza w płuca.

- Okej.

- Okej? - Uniósł się na łokciach. – Poważnie? Tak po prostu?

Trzepnęła go po ramieniu.

- Tak.

- Rany! - Opadł z powrotem na poduszkę.

- Gdybym wiedział, że to będzie takie łatwe, nie zawracałbym sobie głowy piknikiem.

- Ach tak! - Trzepnęła go ponownie. - Jest jeszcze pewien warunek.

- Uff... przeczuwałem to. Potem pojedziesz ze mną do Vermontu.

-Po co?

- Po co?! Naprawdę nie rozumiesz? Żebyś sprawdził, jak się z tym czujesz.

- Żartujesz sobie? Takie miejsca wpędzają mnie tylko w depresję.

Przewróciła oczami.

- Gavin, mógłbyś to zrobić choćby dla przyzwoitości.

- Posłuchaj. - Pocałował ją, i to dwukrotnie.

- Jeśli chcesz, odwiedzę to miejsce, ale sercem wszystkiego jest Los Angeles. Tam pracuję i tam żyję. Podobnie jest z tobą, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Zapomnij o pisaniu powieści, nie jesteś do tego stworzona.

- Chcesz powiedzieć, że nie mam...?

- Nie oszukujmy się.

Wlepiała w niego wzrok. Dał jej lekkiego kuksańca.

- Przyznaj sama.

- Dobrze, świetnie. - Głos jej ochrypł. To była prawda. Czemu nie miałyby spojrzeć jej w oczy? - Jestem marną pisarką, a książka jest nudniejsza niż pan Bradford.

- Twój sąsiad?

- Nauczyciel chemii w liceum.

- Ach tak. Za to jesteś wspaniałą scenarzystką, a w Los Angeles jest wszystko: film, cały show biznes i, do licha... cały świat.

Nie jej świat. Ogarnął ją smutek, wdarł się w jej szczęście jak jakiś robak. Gavin nie zrezygnował. Teraz zrozumiała, co znaczył jego triumfalny uśmiech w „Club Tigre”. Musiała mieć taki sam triumfalny uśmiech, kiedy patrzyła na niego, gdy spał w Central Parku. Każde z nich było przekonane, że postawiło na swoim i że druga strona uznała ten inny sposób życia za najlepszy z możliwych.

Może nie docenili głębokości dzielącej ich przepaści.

Zeszła z łóżka.

- Dokąd idziesz?

- Pod prysznic. Czuję się lepka i przesiąknięta dymem.

- Nie potrzebujesz towarzystwa? Oczywiście, że pragnęła towarzystwa. Teraz i do końca życia. I żeby to był on.

Więc pojedzie do L.A. Sprawdzi, jak się tam czuje. Może jakoś to zniesie. Dla dobra Gavina i ich obojga.

- Tak. - Zaśmiała się niepewnie. - Tak, potrzebuję towarzystwa.

- Mojego?

Zaśmiała się głucho.

- Tylko twojego.

Jakkolwiek długo będzie to trwało...

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Zdenerwowana?

Lindsay omal nie wybuchła sarkastycznym śmiechem. Kto tu jest zdenerwowany? To Gavin nie mógł usiedzieć w jednej pozycji w czarnym fotelu dłużej niż dziesięć sekund, a kiedy już siedział, cały czas drgała mu noga!

Nie, recepcja producenta Johna Saxmana w wytwórni Universal Pictures nie jest miejscem gdzie chciałaby spędzać czas. Jeżeli była zdenerwowana, to tylko dlatego, że tak strasznie chciała, żeby Gavin otrzymał to, czego pragnie, a co mu się jak najbardziej należy z racji talentu.

- Odrobinę. - Zgoda, trochę więcej niż odrobinę. W końcu pomysł był wspólny.

- Nie przejmuj się, Lindsay, okaże się, że jesteśmy wspaniali. Tym razem zaśmiała się na dobre.

- To ty okażesz się wspaniałą, Gavinie. Zostałeś do tego stworzony.

- Oboje jesteśmy do tego stworzeni. Razem. Cóż, takie miał pobożne życzenie...

To prawda, że powrót do Los Angeles przypominał w jakimś stopniu powrót do domu. Samo miasto też było fajne - sklepy, restauracje, słońce, energia bijąca zewsząd... Ale i tak nadal tkwiła w Vermoncie. Martwiła się o Friedę i Freię, o grożące im lisy i jastrzębie, o swoje rośliny, które gospodyni sąsiada obiecała podlewać. I brakowało jej zieleni, która właśnie teraz zaczynała

budzić się do życia. Miasteczko w Vermoncie było jej bliskie. Czowała się tam jak w domu. Czowała się też bezpieczna, czego nie mogła powiedzieć o L.A.

Sekretarka Johna Saxmana wychyliła z gabinetu zgrabnie uczesaną głowę.

- Szef czeka na was. Wejdźcie, proszę.

Posłała Gavinowi krzepiący uśmiech, ale on już wstał, uniósł wysoko głowę, wyprostował ramiona, wypiął klatkę piersiową i wyprężył się. Żadnych dygotów czy tików, po prostu opanowany i godny zaufania kontrahent.

Weszła za nim do gabinetu, a jej podnoszący na duchu uśmiech przeszedł w grymas. Gavin tu mieszka i żyje, dosłownie i w przenośni. Może go wyciągać do parku na pikniki, dopóki od noszenia koszyków nie poharata sobie rąk, a i tak jego serce zawsze będzie tutaj.

Łza zakręciła jej się w oku, na szczęście nie zdążyła się na dobre rozplakać. Od takiego upokorzenia uratowało ją pojawienie się Johna Saxmana.

- Gavin, Lindsay, witajcie, co u was, cieszę się, że was widzę.

Dla Lindsay Saxman był uosobieniem idealnego szefa wytwórni. Pięćdziesięcioletni, średniego wzrostu, o brązowych włosach, których kolor, była tego całkiem pewna, pochodził z fabryki kosmetyków, i o serdecznym sposobie bycia, który najpewniej też miał sztuczne pochodzenie. Powitał ich wylewnie, oceniając jednak bacznie, czy ona i Gavin mogą stać się jego biletem do

nieśmiertelności, czy też wręcz przeciwnie - okazały się gigantycznym niewypałem.

- Dynamiczny duet znowu razem, coś Siadajcie. - Wskazał obrotowe fotele, które zdawały się wisieć w powietrzu, podtrzymywane przez słupki z połyskującego metalu. Co za szyk. I jaka niewygodność. Ale producent John Saxman zrobił to zapewne celowo, żeby nie przedłużać spotkań. - Jak tam Nowy Jork? Gratuluję nagrody, Gavinie.

- Dzięki. - Jakimś cudem Gavin wyglądał tak, jakby mu było wygodnie na krześle. - To było emocjonujące przeżycie, a Nowy Jork jest fantastyczny jak zawsze, choć powrót do domu też ma swoje zalety. L.A. to jest to, prawda, Lindsay?

Uśmiechnęła się sztucznie.

- Oczywiście.

John zasiadł za czarnym biurkiem, skrzyżował ręce na nieskazitelnie czystej powierzchni i skupił wzrok na Lindsay.

- Wróciłaś na dobre?

- Na razie jestem tu przejazdem.

John zmrużył oczy, a Lindsay nie musiała patrzeć na Gavina, by wiedzieć, że zrobił to samo.

- Trudno robić karierę na odległość.

Kto powiedział, że ona chce robić karierę? Do fałszywego uśmiechu wyszczerzyła na dodatek zęby. Nie może zaszkodzić Gavinowi, a tak by się stało, gdyby wyznała prawdę.

- Jestem w trakcie przeprowadzania się z powrotem.

- „W trakcie” może trwać i sześćdziesiąt lat, ale- on nie musi tego wiedzieć.

- Miło mi to słyszeć... - Nieznacznie zmienił pozę, lecz owo „nieznacznie” sprawiło, że uleciała wszelka jowialność i pojawił się Wielki SzeF. - Więc co tu przynosicie, żeby mi zepsuć dzień*

- Może nie zepsujemy, John. Jest to remake „Filadelfijskiej opowieści”, w której widzielibyśmy Nicole Kidman w roli głównej, George'a Clooneya jako jej eksmęża i Johna Cusacka w roli, którą grał Jimmy Stewart.

- Hm. - Wielki SzeF zamasyżuje położył łokcie na oparciach fotela i złączył rozczapierzone palce, przybierając klasyczną pozę: „Mów dalej, słucham”.

Chodziło o ich nadzieje i marzenia.

- Film zaczyna się od prologu. Widzimy George'a Clooneya, pracoholika, którego żona, Nicole, wyrzuca z domu, podczas gdy ten nie przestaje rozmawiać przez komórkę. Ona mu ją wrywa i wrzuca do stawu z japońskimi karpami.

Gavin mówił, gestykulował szeroko, a od czasu do czasu, tak jak zaplanowali, ustępował miejsca Lindsay, kiedy trzeba było przedstawić punkt widzenia postaci, w którą miała się wcielić Nicole Kidman.

Z początku była zdenerwowana, zająknęła się i wypadła z tekstu. Wtedy Gavin uśmiechnął się do niej, jakby poza nią nie było nikogo w pokoju, i dalej wszystko szło świetnie.

A nawet jeszcze lepiej. Rozkręciła się, wczuła w rolę. Precyzyjnie i wiernie przedstawiała scenariusz, pokazała zmysłowość

i temperament głównej bohaterki, a przy okazji wyeksponowała komercyjną wartość materiału.

Wciągnęli się bardziej, niż przypuszczali, aż z przyśpieszonym oddechem, uśmiechem na ustach i podniesioną adrenaliną dotarli do końca. Prawdziwy happy end na srebrnym ekranie. Do pełni szczęścia potrzebna była jeszcze aprobatą w tym gabinecie.

John Saxman wciąż siedział nieporuszony ze złączonymi palcami pod nosem.

Spodobało mu się czy wręcz przeciwnie? Wzruszył się czy dostał paraliżującego ataku serca?

Wreszcie opuścił ręce na biurko.

- Czy scenariusz jest gotowy? - zapytał.
- Powiedz słowo, a będzie.
- Zrobicie to razem?
- Tak - odpowiedzieli jednocześnie.
- Uważam, że jest świetny.

Lindsay wstrzymała oddech. To jest to! Kiedy Gavin zerknął na nią, nie odważyła się odwzajemnić spojrzenia z obawy, że zawyje z radości.

- Naprawdę jest świetny. - Wielki Szef uśmiechnął się od ucha do ucha. - Mam ludzi, którzy na pewno będą tym zainteresowani.

- Wspaniale, John. - Gavin nie okazał cienia emocji, które przecież go rozsadzały. Cóż, profesjonalista. - Dziękuję.

Dodała swoje podziękowanie, ale słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Udało się! Udało się!

Jak w tej sytuacji zachować się godnie i nie dać po sobie poznać, co się naprawdę czuje? Najchętniej wyrzuciłaby w górę ramiona i wydała dziki okrzyk. Udało się! Okej, jeszcze nie sprzedali scenariusza, ale, do licha, przecież już odnieśli sukces!

Spokojnie wymienili uściski dłoni z rozpromienionym Johnem i przeszli do drugiego gabinetu, gdzie z równym spokojem pożegnali sekretarkę. Zachowywali się tak jeszcze po wyjściu z budynku i w drodze na parking, aż wreszcie Lindsay nie wytrzymała.

- Tak, tak, tak! - krzyknęła i wskoczyła Gavinowi w ramiona, a on z radości zakręcił się z nią w koło.

- Udało się! - Twarz mu promieniała. Postawił Lindsay na ziemi i pocałował ją. - To jest to. Do dzieła!

- Uczcijmy to i pojedźmy do tego lokaliku koło Uniwersytetu Kalifornijskiego, w którym bywaliśmy w czasach... — Urwała, bo zadzwonił telefon Gavina.

- To Barry - poinformował. - Cześć, Barry, nie zgadniesz...

Lindsay czekała, kiedy Gavin nawijał agentowi, jak poszło ze scenariuszem. Słońce prażyło, poczuła straszne pragnienie.

- Okej, Barry. Jasne. Cześć.- Zakończył rozmowę i odwrócił się do Lindsay. - A niech to! Ale jest podekscytowany.

- Dziwisz się? Dla niego to też są pieniądze. Gavin, umieram z pragnienia. Pojedźmy...

- O choroba, zapomniałem. Muszę zadzwonić do Toma i Sharlee. A potem do mamy i taty. Obiecałem, że zrobię to od razu po wyjściu z wytwórni. To zajmie tylko sekundę, obiecuję. Potem pojedziemy, gdziekolwiek zechcesz. - Musiała mieć minę „Już ja się

wezmę za ciebie", ponieważ pocałował ją, czekając na pierwsze połączenie. - Wiele im zawdzięczam, byłoby nie w porządku, gdybym ich nie poinformował. A jeśli tego nie zrobię teraz, któreś z nich do mnie zadzwoni i będzie mi głupio.

- Masz rację. - Tak, miał rację. To było typowe dla niego. Cały Gavin!

Piętnaście minut później Tom, Sharlee, David i Joyce usłyszeli chyba wystarczającą ilość szczegółów, żeby zaspokoić ciekawość, za to Lindsay było gorąco, czuła się rozdrażniona i najchętniej wrzuciłaby komórkę Gavina do stawu z karpami, gdyby taki znajdował się koło wytwórni.

- Jasne, no to cześć. - Wyłączył telefon, podbiegł do niej, zagruchał: - A teraz, moja jedyna miłości, jestem cały dla ciebie.

Zachichotała. No dobrze, była i nadal jest głupią gęsią i nic na to nie poradzi.

- Chodzi o czas. Pojedźmy do tej małej tajskiej restauracji, gdzie zwykliśmy...

- Cześć, Gavin!

Chichot Lindsay zmarł nagłą i tragiczną śmiercią. Jeszcze tego brakowało! Wałacy Po Plecach

Bob Franklin. Pijawka Marlie, lepiąca się do Gavina, której on nigdy się nie pozbył, nawet dla dobra Lindsay. I Alex, która zadała sobie tyle trudu, żeby z drwiną skrytykować Lindsay i jej suknię na gali w Nowym Jorku. Pozostałych dwojga nie znała, ale wyglądali na dobrze ustawionych i ważnych.

- Chodźmy. - Pomachała zbliżającej się grupie i pociągnęła Gavina za rękaw. - Teraz, już.

- Okej. Zaraz się ich pozbędę. - Powitał kwintet. - Jak leci?

- Lepiej powiedz, jak wypadło spotkanie.

- Fantastycznie. - Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To super. Gavin, chciałbym, żebyś poznał George'a Conklina i Bruce'a Russella.

Lindsay była bliska załamania. George i Bruce to były wielkie fisze z Universalu, od których wiele zależało. Z takimi ludźmi Gavin za wszelką cenę chciałby się zbratać. Już na kilometr wyczuła niebezpieczeństwo.

I rzeczywiście, po uprzejmych prezentacjach stało się to, co nieuniknione

- Udajemy się do „Marica's Cantina” na parę drinków. Dołączcie do nas. - Na propozycję, która padła z ust George'a Conklina, twarz Boba przybrała grymas: „Nienawidzę cię”.

- Och, my właściwie... - Gavin zwrócił się do Lindsay. Nie zgodzi się, póki ona nie powie tak.

Nie był aż taki okropny. Ale prośba widoczna była w jego oczach, i gdyby powiedziała nie, byłby rozdrażniony przez cały wieczór. Stłumiła westchnienie.

- Z przyjemnością, dziękujemy. Podziękował jej uśmiechem i pocałował, szepcząc do ucha:

- Tylko jeden szybki, a potem jedziemy na kolację.

- Oczywiście. - Miała nadzieję, że nie pozna po jej oczach, jak bardzo jest jej smutno, i udała się z nim do samochodu. Przeżyła takie momenty tyle razy, że z góry wiedziała, czym to się skończy.

Czy oni kiedyś przestaną gadać? Gavin kolejny raz zaśmiał się donośnie z historyjki, której nie uważał za śmieszna. Szukał okazji do wyjścia od przeszło pół godziny, w każdym razie odkąd zauważył, że Lindsay, która od pewnego czasu siedziała z kamienną twarzą, przeprosiła towarzystwo i wyszła. Do jasnej cholery. Powiedział, że to będzie jeden szybki, ale rozmowa toczyła się w najlepsze, podano przekąski, mówiono o ważnych sprawach zawodowych. Ci ludzie mogli bardzo pomóc jemu i Lindsay. Nie mógł ot, tak sobie wstać i wyjść bez ważnego pretekstu.

Odwrócił się niespokojnie, żeby zobaczyć, czy Lindsay nie wraca już z toalety. Miał nadzieję, że nie zrobiło jej się słabo. Widział jeszcze, jak rozmawiała z właścicielem baru w drugim końcu sali, ale potem stracił ją z oczu.

- Prawda, Gavinie?

Zmusił się i z przyklejonym uśmiechem wrócił do rozmowy. Do diabła, gdzie ona jest? Wypiła tylko jedną margaritę, którą sączyła prawie przez godzinę - zjadła tylko trochę chipsów z salsą. Wiedział, że duszą znajduje się w tajskiej restauracyjce, gdzie bywali jako studenci. Jeszcze tam pojedą. Prawie na pewno. Może na deser.

Zgoda, jest kompletnym idiotą. Zawiódł ją. Ale...

Westchnął. Po co tu siedzi i dyskutuje z samym sobą? Powinien albo przeprosić Lindsay, albo zająć zdecydowane stanowisko,

ponieważ to spotkanie jest ważne, a na kolację mogą się udać jutro wieczorem.

Tylko gdzie ona jest?

Przeprosił i wstał od stołu, przystanął przy damskiej toalecie, aż doczekał się wychodzącej stamtąd kobiety.

- Przepraszam, czy nie widziała tam pani pewnej brunetki, niewysokiej, w typie Audrey Hepburn?

- Przykro mi, ale nie. Byłam tam sama.

A niech to szlag. Rzucił się do baru.

- Czy przypomina pan sobie brunetkę, która jakiś czas temu z panem rozmawiała?

- Kogo, Lindsay? - zapytał właściciel baru.

- Tak, Lindsay. - Skąd, do cholery, facet zna jej imię? - Nie wie pan, gdzie ją mogę znaleźć?

- Poprosiła, żebym wezwał jej taksówkę. Powiedziała, że jedzie do Venice.

Do jego domu. Musi szybko ugłaskać George'a i Bruce'a, a potem gnać do domu i zrobić wszystko, by ugłaskać Lindsay.

Niespokojny wrócił do stołu.

- Hej, gdzie się podziała twoja lepsza połowa? - Uśmiechnięta gęba Walącego Po Plecach Boba wskazywała na to, że facet zwęszył sprzeczkę między kochankami. - Znowu uciekła do Vermontu?

- Tym razem nie.

-Mógłbyś być dla niej miłszy.

- Bo co? - zdenerwował się Gavin. - Zaprosisz ją do Cancun za moimi plecami?

Bob, choć zaskoczony, nonszalancko wzruszył ramionami, a potem dodał:

- Stracisz ją znowu.

- Nic takiego się nie zdarzy. - Gavin wykrzeszał z siebie uśmiech, pożegnał się i ruszył w stronę wyjścia. Tylko dzięki silnej woli nie wypadł jak burza z restauracji do samochodu.

Ruch na jezdni był piekielny. Zawsze był taki w Los Angeles, ale teraz wydał mu się superpiekielny. Dziewiąty krąg piekła, najstraszniejsza tortura, najgorszy wymysł szatana specjalnie na jego użytek.

Wreszcie po godzinnej jeździe zahamował na podjeździe swojego bungalowu w Venice, wygramolił się z mazdy i podbiegł do drzwi frontowych. Zamknięte. To jeszcze nic nie znaczyło. Przecież Lindsay mogła przekręcić klucz ze względu na bezpieczeństwo.

Wszedł do środka, zajrzał do salonu, do kuchni, do sypialni dla gości.

- Lindsay?

Nic. Wyjrzał na wewnętrzny dziedziniec - wybetonowane patio wielkości znaczka pocztowego z kawałkiem czegoś, co miało uchodzić za ogród - po czym rzucił się do swojej sypialni.

Jej rzeczy zniknęły, a na łóżku leżała kartka.

Gavinie, wracam do Vermontu. Muszę się pozbierać. Zbyt wiele się wydarzyło w zbyt krótkim czasie, potrzebuję spokoju i przestrzeni na przemyślenie tego wszystkiego. Bardzo chciałbym popracować z tobą nad scenariuszem, ale nie tutaj. W Los Angeles za wiele jest ciebie, żeby mogło się znaleźć miejsce dla mnie.

Z miłością Lindsay

Zmiał kartkę, zeszywniał porażony bólem.

Jak mogła mu to zrobić?

Rzucił się na łóżko. Nie wiedział, co o tym myśleć. Przecież jechał tu, żeby ją przeprosić i wszystko naprawić. A ona nie dała mu szansy. Żadnej.

Kiedy zaczęło się psuć? Kiedy zmieniła zamiar? Przecież była taka podekscytowana po wyjściu z wytwórni...

Wtedy pojawił się Bob z całym tym towarzystwem.

Gavin zaklął, zapatrzył się w sufit, marząc o tym, żeby dom się zawalił i uwolnił go od tego straszliwego cierpienia.

Próbowała go gdzieś wyciągnąć. Z dala od Los Angeles. Gdzieś, gdzie nie bywają ludzie filmu, gdzie nie ma tłumów, gdzie się nie tańczy. Chciała być z nim sam na sam jak w Central Parku, gdzie czuł się tak dobrze jak nigdy od wielu lat.

A on nie dał jej szansy.

Żadnej szansy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Och tak! Lindsay wyłączyła silnik żółtego volkswagena garbusa, wyskoczyła z auta i zachłysnęła się świeżym, rześkim, sosnowym powietrzem Vermontu.

Boże, jak dobrze znów znaleźć się w domu. Z dala od tłumu, z dala od smogu i upału, a także asfaltu i stali na każdym kroku. Wrócić do pokrytego patyną czasu białego farmerskiego domu.

Na razie nie zamierzała zastanawiać się nad tym, jak się czuje z dala od Gavina. Jeszcze nie. Przyjechała, żeby dojść do siebie i uporządkować myśli, i od tego zacznie.

Wyciągnęła torbę z tylnego siedzenia i pognała na tył domu do swoich kurzej gromadki.

- Frieda, Freia, wróciłam do domu!

Obie pupilki pędziły już do siatki kurnika, gdacząc na cześć swej pani.

- Tak, dziecińki, to ja.

Otworzyła kurnik, wypuściła je i uklękła na trawie, żeby się przywitać jak należy. Nie posiadała się ze szczęścia. Frieda usadowiła się jej na kolanach i wyśpiewała swoją radość, natomiast Freia wskoczyła jej na ramię i donośnym gdakaniem wyraziła zadowolenie.

- Witam, moje śliczne ptaszki - zawtórowała, gładząc srebrne i czarne pióra. - Przepraszam, że tak długo mnie nie było.

Potem weszła do domu i natychmiast zmieniła czarne spodnie na ukochane wyblakłe niebieskie dzinsy. Następnie rozpakowała resztę rzeczy i wreszcie poczuła, się jak u siebie.

Ziewnęła - była oczywiście zmęczona po podróży - zeszła na dół i zadzwoniła do sąsiada.

- Witaj, Frank, jestem już w domu. Dziękuję ci za troskliwą opiekę nad Friedą i Freią. Wyglądają wspaniale i dziarsko, i...

- Żaden kłopot. Udał się wyjazd?

- Och, tak, trochę męczący, ale bardzo fajny. Najpierw pojechałam do Nowego Jorku, potem nieoczekiwanie zahaczyłam o Los Angeles i...

- W porządku. No to do zobaczenia.

- Oczywiście. - Zachichotała. Cóż, zapomniała, że Frank organicznie nie znosił takiej paplaniny. - Na razie. Och, i jeszcze raz dziękuję za...

- Dobra. Klik.

No cóż, będzie musiała na nowo nauczyć się obcować z vermontczykami.

Westchnęła radośnie, przeciągnęła się leniwie i przystanęła w przytulnej, czyściutkiej kuchni. Co by tu zrobić? Może... się zdrzemnie?

Jasne, czemu nie. Była strasznie śpiąca. Ostatnie dni były takie stresujące...

Poszła na górę i położyła się na łóżku, starając się za wszelką cenę nie myśleć o Gavinie.

Chyba podziałało, bo kiedy się obudziła, było już dwie godziny później. Leżała jeszcze jakiś czas, powoli dochodząc do siebie.

Niestety, była jeszcze zbyt śpiąca, żeby skutecznie blokować myśli, które wbrew jej woli dosłownie ją osaczały.

Nie powinna była tak wyjeżdżać. Spanikowała, co było niewłaściwe i dziecinne. Kiedy Gavin nie zwracał na nią uwagi i coraz bardziej rozkręcał się z tymi durniami, czuła, że serce jej jak najdalej i jak najprędzej. I to był błąd. Taki sam jak za pierwszym razem. Powinni usiąść i spokojnie porozmawiać z sobą. Gavinowi należy się od niej coś więcej.

Ale główny problem tkwił w samym Los Angeles. Tutaj, w Vermoncie, widziała wszystko ostrzej i wyraźniej. Tutaj jest racjonalną, trzeźwą... ziewnęła... senną istotą ludzką. Tam była jednym kłębkim nerwów - zestresowana i niespokojna, zupełnie niepodobna do siebie.

Zwlokła się z łóżka i zeszła na dół do słonecznej, pełnej roślin werandy, która służyła jej za gabinet, i włączyła laptopa. Rzuciła okiem na pocztę od znajomych, od rodziny, na spamy i napisała mejla do Gavina.

Cześć. Dotarłam bezpiecznie do domu. Wpadłam w panikę i naprawdę jest mi przykro. Nie zamierzałam robić ci powtórek z przeszłości, ale uwierz mi, że ponowne zanurzenie się w codziennej rutynie LA. nie jest dla mnie łatwe. Jeżeli mamy razem pracować, musimy to jakoś inaczej zorganizować.

Kocham cię Lindsay

Wysłała mejla, usunęła spamy, odpowiedziała krewnym i znajomym. Zrobiła sobie filiżankę herbaty. Wypiła ją. Zrobiła kolejną, tym razem ziołową. Wypiła.

No tak.

Ziewnęła pomimo herbaty, rozegrała chyba z osiem partii ulubionego pasjansa, a program informujący o przyjeździe nowej poczty milczał uparcie.

No cóż.

Dzisiaj ma urlop i nie będzie sobie zawracać głowy powieścią. Właściwie mogłaby ją przerobić na romans. Wysoki, ciemny nieznajomy w TT roadsterze nie wychodził jej z głowy. Podobnie jak emanująca czułością para starszych ludzi wspierających się w zdrowiu i w chorobie, związanych z sobą na dobre i na złe, dopóki śmierć ich nie....

Może powinna dać za wygraną. Mieli swoją drugą szansę, mogą mieć ich jeszcze kilka, ale dopóki oboje się nie zmieniają, zawsze będzie tak samo.

Spod jej powiek popłynęły łzy. Sięgnęła po chusteczkę, uspokoiła się nieco. Patrzyła na majaczące wzgórza przystrojone klonami, brzoźami, sosnami, i na pola uprawne. Wszystko to wyglądało tak pięknie, tak spokojnie. Tak prawdziwie.

I bardzo samotnie.

Lindsay podjechała garbusem pod dom, wyłączyła silnik i położyła głowę na kierownicy. -Makabra. -

Właśnie wracała z drugiej wizyty u lekarza w ciągu trzech dni, po dwóch tygodniach bezsenności albo przesypianiu dziesięciu godzin

za jednym zamachem i zapadaniu w drzemkę co chwilę. Do tego jeszcze chudła.

Rozpoznanie? Nie anemia. Nie rak. Nie tarczyca.

Depresja.

Zalecenia? Psychoterapia, środki antydepresyjne albo...

radykalna zmiana stylu życia. Wspaniale. Rewelacyjnie. Cała radość z pobytu w Vermoncie, więź z przyrodą, próba dotarcia do sedna życia i znalezienie tego, co naprawdę ważne, okazały się... chorobą psychiczną.

Kiedy doktor Bolton, który notabene przypominał jej ukochanego dziadka, postawił diagnozę, przeżyła szok i nie chciała uwierzyć. Potem, stopniowo, zaczęła sobie przypominać różne rzeczy. Swoje ożywienie, kiedy poszli z Gavinem tańczyć do „Club Tigre”. Do licha, ożywiła się nawet tamtego pierwszego wieczoru podczas gali, kiedy spotkali się wzrokiem, a także następnego dnia, w pokoju hotelowym, kiedy omawiali scenariusz, i potem, kiedy opracowywali konspekt.

Nie była tutaj szczęśliwa. Była wręcz nieszczęśliwa, zwłaszcza bez niego. Nie mogła pisać, co tam pisanie, po prostu ledwie funkcjonowała. Że też kiedyś nazywała to nirwaną!

Nirwaną było przebywanie z nim, nawet kiedy ją doprowadzał do szału, a ona jego. Nirwaną były jego tulące ramiona. Z drugiej strony była pewna, że Los Angeles nie jest nirwaną dla niego.

Odpowiedział krótkim mailem na jej liścik sprzed dwóch tygodni. Wyglądało na to, że jest bardzo zajęty i zbyt zaabsorbowany, żeby omówić z nią scenariusz i posunąć go naprzód. Obiecał

zadzwoić dzisiaj o drugiej. I to wszystko. Najchętniej, kiedy zadzwoni, powiedziałyby, że nie ma czasu, bo teraz jest pora jej drzemki. Ale co by tym osiągnęła?

Szarpnięciem otworzyła drzwi samochodu, weszła do domu, potem do sypialni, gdzie spakowała dwie największe torby podróżne. Pojedzie do L.A., a potem sprzeda dom i przeprowadzi się tam na stałe, zakładając, że znajdą jakieś miejsce, gdzie będzie mogła hodować kury. Nie cierpi L.A., ale to nie ma znaczenia. Musi być razem z Gavinem, a on wyraźnie dał do zrozumienia, że nie wyniesie się stamtąd. Może też jest w tej chwili nieszczęśliwy bez niej i może obiecuje sobie, że się zmieni...

Już widzi jego minę, kiedy mu wyzna, że wróciła na stałe. Nie mogła się tego doczekać. Oczywiście nie powie mu tego przez telefon, tylko na miejscu. Spojrzała na zegarek. Boże, -spędziła w sypialni ponad godzinę, za dwie godziny zadzwoni Gavin, a ona musi jeszcze załatwić mnóstwo spraw. Poprosić Franka... Biedne kury znowu zostaną same. Zbiegła do kuchni, żeby przegryźć jakąś kanapkę. Potem zjadła jabłko. Na koniec postanowiła upiec murzynka. Po kwadransie wsunęła blachę do pieca. Wspaniale. Już teraz czuła się znacznie lepiej.

Zerknęła na zegarek, wróciła na górę do łazienki, żeby umyć zęby, nie dlatego, że Gavin mógłby wyczuć z odległości trzech tysięcy kilometrów, co jadła na lunch, ale kobiety potrafią być uroczo nielogiczne. Nawet poprawiła fryzurę i nałożyła trochę makijażu.

Dobra. Druga godzina. Zaraz zadzwoni; jest wyjątkowo punktualny.

Zadowolona z siebie, usiadła przy telefonie i czekała.

I czekała.

Druga pięć.

Druga dziesięć...

Druga piętnaście, pora, żeby wyjąć murzynka.

Może powinna sama zadzwonić?

Frieda i Freia podniosły raban na podwórku, a ona wyciągnęła blachę z piekarnika i wyjrzała przez okno. Co zaniepokoiło jej skarby?

Szczeka jej opadła.

Błyskawicznie otworzyła kuchenne drzwi i z głupią miną zatrzymała się na progu. Pochylony Gavin przyglądał się badawczo jej oszalałym kurom.

- Uspokójcie się, ćwir, ćwir, ćwir.

- Biorą cię za drapieżnika, bo nie należysz do stada.

- Naprawdę? - Wyprostował się, a łagodne słońce Vermontu padło na jego twarz i ożywiło oczy, zatarło cienie i złagodziło zbyt wystające kości policzkowe. - A ty należysz do stada?

- Tak.

- Co mam zrobić, żeby dołączyć do tej szajki?

- Zaraz zobaczysz. - Podniosła odrobinę głos: - Cip, cip, cip. -

Oczywiście, to podziało.

- A teraz daj im to.

Ochoczo wziął od niej karmę, wpatrywał się w podekscytowane ptaki, a następnie spojrzał na Lindsay.

- Rozumieją ludzką mowę?

- Całkiem nieźle. - Uśmiechnęła się ironicznie. - I komunikują się lepiej od nas.

- Nie wątpię. - Rzucił ziarna kukurydzy i pszenicy, dopóki kury nie zaczęły dziobać.

- Czy już zostałem honorowym członkiem stada?

- To zależy, czy tego chcesz.

- Chcę.

- No to jesteś tu mile widziany.

- Dziękuję- Uśmiechnął się. - Miałaś rację, Lindsay. Tu jest naprawdę pięknie. Jeszcze nie czułem się tak zrelaksowany od czasu, kiedy...

- Wyjechałam?

Skrzywił się lekko.

- Tak...

- Aha. Mam swoją teorię na ten temat. Wejdź do środka.

Upiekłam twojego ulubionego murzynka.

- Wiedziałaś, że przyjadę?

- Pewnie podświadomie. - Nie przestawała się uśmiechać, serce waliło jej jak szalone. Przyjechał! Może wszystko się jeszcze ułoży, może jeszcze będą szczęśliwi.

Przytrzymując drzwi i puszczając ją przodem, spojrzął na nią krytycznym wzrokiem.

- Nie wyglądasz na taką, która je dużo ciasta.

- To się zaraz zmieni.

Zjadła trzy kawałki, a Gavin cztery. Popijali je szklanicami mleka vermonckich krów i rozmawiali o biznesie. Umowa na

„Filadelfijską opowieść" będzie zawarta, ale Saxman zlecił napisanie scenariusza innym autorom. Jednym z nich ma być Bob Franklin.

Lindsay była załamana. Co za parszywy zawód! Czy nie znają przysłowia o zbyt wielu kucharzach? Scenariusz tylko na tym ucierpi.

- Oni to zniszczą.

- Wiem. - Gavin wstał od stołu. - Wniosę bagaże.

- Dobrze się czujesz? Odwrócił się skonsternowany.

- O dziwo, tak. Doszedłem do wniosku, że jest kilka spraw ważniejszych od scenariusza. Zwłaszcza jedna.

- Och. - Nie była w stanie powiedzieć więcej, siedziała po prostu i promieniała szczęściem. - Pomóc ci?

Pokręcił głową, uśmiechnął się do niej i udał do samochodu. Wrócił z dwiema ogromnymi walizkami.

- Planujesz dłuższy pobyt?

- Planuję przeprowadzkę.

- Przeprowadzkę?

- Tak. - Uśmiechnął się szeroko, jakby właśnie ofiarował jej gwiazdkę z nieba. - Nie chcesz mnie tutaj?

- Nie. - Gdy jego szeroki uśmiech zamarł z przerażenia, dodała: - To nie jest miejsce dla ciebie. Nawet ja tutaj nie należę. Zobacz. - Złapała go za rękę i pociągnęła na górę do swojego pokoju, gdzie na łóżku nadal leżały dwie ogromne torby podróżne. - Ja też planuję przeprowadzkę.

- Lindsay, przecież nie cierpisz Los Angeles.

- Tak, ale kocham ciebie. - Objęła go za szyję, wpatrywała się z uwielbieniem w jego oczy. - Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak tekst ze scenariusza, ale... gdziekolwiek jesteś, tam i ja chcę być.

Stała na czubkach palców, prosząc się o pocałunek, który, o Boże, dostała - taki mocny i namiętny, jakiego pragnęła. Potem przez całą minutę dochodziła do siebie, ogłuszona z wrażenia. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co Gavin do niej mówi.

- Ty się przeprowadzasz dla mnie do Fabryki Snów, natomiast ja dla ciebie dołączę do twojego stada kur.

- To by dopiero było! Co tam nagrody filmowe, za takie poświęcenie czeka nas aureola świętości!

- Hm. - Otarł się o nią znacząco. - W tej chwili akurat nie mam zbyt świętych myśli.

- Nie?

- Nie, takie raczej bardziej... odjazdowe. Uśmiechnęła się słodko.

- Chcesz powiedzieć, że bardziej rockowe?

- O właśnie, rockowe.

- Gavin.

- Tak?

- Zróbmy coś, czego nigdy nie robiliśmy.

- Z góry jestem za tym, powiedz tylko co.

- Zawrzyjmy kompromis.

- Kompromis?! - Zapalał udawanym oburzeniem. - Ale w ten sposób nikt nie zwycięża.

- Wiem, że to brzmi nieciekawie, ale słyszałam, że kompromis sprzyja budowaniu związku.

- No cóż, znasz mnie i wiesz, że ważne sprawy lubię załatwiać na gorąco,- Powoli kierował ją w stronę łóżka. - Dlatego uwielbiam zadawać się z tobą, panno Kenyon.

- Och, to też jest niezły tekst, panie Gavinie.

- Dzięki. Więc jaki masz plan?

- Sześć miesięcy tutaj, sześć w Los Angeles. - Obserwowała go uważnie.

Krzywił się przez dwadzieścia niekończących się sekund, po czym zdecydowanym ruchem pokiwał głową.

- Jakoś to przeżyję. Od lipca do grudnia tutaj, od stycznia do czerwca tam?

- Doskonale. Boże Narodzenie w Vermoncie, a od stycznia słoneczna Kalifornia. - Kiedy kolaniem dotknęła brzegu łóżka, wiedziała, że już niedługo będzie kochana jak żadna inna kobieta na świecie. - Załatwiłeś dobry interes.

- Załatwiłem sobie idealną kobietę.

- Ooo, kolejny niezły tekst. - Wsunęła ręce za pasek jego spodni i wyciągnęła na wierzch koszulę. - Powinieneś zostać scenarzystą.

- Interesująca propozycja. - Ściągnął jej bluzę przez głowę. - Rozważę go.

Nagle wpadła na cudowny pomysł.

- Napisz ze mną scenariusz.

- Tak? A o czym?

- O krnąbrnej i nieustępliwej kobiecie, która ucieka przed czymś, zamiast się z tym zmierzyć, i o mężczyźnie, który uprzytamnia jej, co tak naprawdę uczyni ją szczęśliwą.-

- To mi się nawet podoba. - Pocałował jej gołe ramię, wędrując ustami do zagłębienia szyi. - Pod warunkiem, że będzie happy end.

- Oczywiście!

- Włącznie ze ślubem?

- Uważasz, że jest konieczny?

- Tak uważam. - Spojrzał na nią lekko zaniepokojony. - To znaczy, jeśli ty...

- Więc może być i ślub. - Popatrzyła na niego rozpromienionym wzrokiem, wyobrażając ich sobie, jak cieszą się życiem i starzeją w tym domu, a rozkwitają i emanują energią w Los Angeles. - Zgadzam się.

- A jak byś zatytułowała ten nasz hit?

- „Ich noce”.

Przestawił jej torby na podłogę i zrobił dla niej miejsce na łóżku, które odtąd będą dzielić przez połowę wspólnego życia.

- No to mamy zagwarantowany happy end, najdroższa.